

Kilka naiwnych pytań

Było mi to na rękę, jak nigdy. Wsiadając, dyskretnie włączyłem magnetofon i powinienem mieć oryginalną wypowiedź kierownicy. Tylko dodać wstawkę narracyjną.

Zdrowie pełnymi garściami

Nieznamość rzeczy czy nieuwaga mogą spowodować konieczność wyrzucenia pełnego zbioru, a na to dobry zbieracz nie może sobie pozwolić. I to nie tylko ze względu na straty finansowe.

„Polonia restituta”

— Wysoki Sejmie. Niech mi wolno będzie rozpocząć to sprawozdanie od radosnego okrzyku: Ojczyzna nasza wolna jest narazie. Traktat pokojowy podpisany przez Niemców uznał niepodległość Polski. Główne Sprzymierzone i Stowarzyszone Moce stwierdziły to uroczystie...

Wiedza z importu

Po powrocie jesteśmy innymi ludźmi — mówią uczestnicy wyprawy.

Dziewczęta z cell nieletnich

Nasz „Marcelek”, udany synek — Baśka Pietrzyk, była bardzo zgrabna. Rączki i nóżki miała jakby wytoczone, chodziła w Warszawie do szkoły baletowej. Cudownie się gimnastykowała, robiła szpagaty, chodziła na rękach, stawała na głowie.

POZA TYM: „ZAŁĄCZNIK”

RECENZJE

FELIETONY

POLEMIKI

POLITYKA

PODYSKUTUJMY

AKTUALNOŚCI

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

Kódź

NR 17 (1116) ROK XXII

29 KWIETNIA 1979 R.

CENA 3 zł

16 stron



LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Manifestacja 1 majowa w Łodzi w roku 1945. Zdjęcie z archiwum Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego



„Zawieźli mnie do fabryki i powiedzieli: — Oto jest Janina Kalinowska i ona będzie waszym dyrektorem” (CZYTAJ NA STR. 3). Foto: R. Łucyszyn

W CZTERDZIESTYM PIĄTYM

Zacznę tę opowieść o rok wcześniej, niż zapowiadałem w tytule. Utkwił mi w pamięci 1 maja 1944 roku. Mieszkaliśmy wówczas w Zdobunowie na Wołyniu. Wojska radzieckie przepędziły stąd Niemców w lutym 1944 roku; front zatrzymał się w okolicach Kowla, ale dla nas to już było daleko.

Zdobunów był dużą stacją węzłową. Krzyżowały się tu szlaki kolejowe z Szeperetówki, Lwowa, Sarn i Kowla. Tędy właśnie jechały pociągi z wojskiem, amunicją i bronią pod Kowel. Tu zatrzymywały się na kolejowych bocznicach, aby oczekiwać swojej kolejki. Niemcy od dawna próbowali bombardować zdobunowski węzeł kolejowy, ale robili to sporadycznie, z pojedynczych samolotów. Nie mieli odwagi na masowy nalot. Tak się przynajmniej wszystkim wydawało.

Wiosna trochę się spóźniała. Zima tamtego roku przyszła późno. Mrozy i śniegi nastąpiły dopiero w lutym. Ale majowe święto zapowiadało się uroczystie. Miasto dokładnie sprzątnięto. Krawężniki i uliczne drzewka wymalowano wapnem na biało. Na urzędach i domach zawisły sztandary i transparenty. Przed południem, 1 maja 1944 roku, miał odbyć się wiec i ulicami miał przejść pochód.

Nalot zaczął się w przeddzień, o godzinie 20, kiedy wszyscy spokojnie szykowali się do snu. Na niebie płonęły ognie, zrobiło się jasno jak w dzień. Nim artyleria przeciwlotnicza rozpoczęła ostrzeliwanie hitlerowskich eskadr, na miasto, na kolejowe tory, spadły pierwsze bomby. Dziś nie umiem

Ciąg dalszy str. 2-3



Zbliżają się doroczne „Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy”, które rozpoczyna się 3 maja i będą trwały do 3 czerwca. Wielki festiwal kultury — impreza, która tak mocno wrosła w nasz wiosenny krajobraz, będzie miała tym razem bardziej, niż zwykle uroczysty charakter, przypada bowiem w roku obchodów jubileuszu 35-lecia Polski Ludowej. Będzie więc okazją do ukazania dorobku kulturalnego naszego kraju w okresie, który minął od historycznych wydarzeń w lipcu 1944 r., do podsumowania osiągnięć w zakresie upowszechniania najcenniejszych wartości naszej kultury. Niewątpliwie, jak co roku, również nadchodzące „Dni” zaowocują nowymi inicjatywami i poczynaniami, które wzbogacą życie kulturalne kraju, przyczynią się do dalszego rozszerzenia współudziału ludzi pracy w tworzeniu kultury, będą służą bliższym kontaktom między twórcami i zalogami robotniczymi.

„Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy” będziemy obchodzić już po raz trzydziesty trzeci. Warto więc wspomnieć tamte, pierwsze powojenne majowe festiwale, skromniejsze w or-

A oto ramowy program tegorocznych „Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy”:

3 maja — Inauguracja. Będzie to „Dzień Bibliotek” połączony z jubileuszem 150-lecia Miejskiej Biblioteki Publicznej im. E. Raczyńskiego w Poznaniu.

4-9 maja. — W Poznaniu odbędzie się wielka impreza — IV Ogólnopolskie Biennale Sztuki Dziecka.

5 maja. — Swoją dzień będą obchodzić pracownicy prasy, radia i telewizji. Będzie to okazja do spotkań społeczeństwa z dziennikarzami, poznania przez odbiorców procesu powstawania gazet, przygotowania programów radiowych, telewizyjnych itp.

6 maja. — Dzień literatury polskiej. Przewidziane są (jak zresztą w ciągu całego miesiąca) spotkania autorskie pisarzy z czytelnikami. Zainaugurowane zostaną majowe kiermasze książki z udziałem autorów, którzy będą podpisywać swoje książki.

7-9 maja. — W tych dniach swój bogaty dorobek kulturalny zaprezentuje społeczeństwu Ludowe Wojsko Polskie.

10 maja. — Swoją sztukę pokaże na wystawach — kiermaszach nasze rzemiosło artystyczne.

12 maja. — Dzień muzyki — a więc okazja do zaprezentowania pięknych osiągnięć tej dziedziny naszej sztuki, do spotkań melomanów z twórcami.

13 maja. — Osiągnięcia i zamierzenia pokażą placówki kulturalne w osiedlach mieszkaniowych. Warto dodać, że w ostatnim czasie następuje w tym zakresie wyraźna poprawa, co jest zasługą spółdzielczości mieszkaniowej i samorządów mieszkaniowych.

16-21 maja. — W Warszawie będą się odbywać XXIV Międzynarodowe Targi Książki.

17 maja. — Dzień plastyki. Będzie można zobaczyć interesujące wystawy, nabyć dzieła sztuki na kiermaszach. Będzie to też okazja do pokazania przez artystów tego co zrobili dla podniesienia estetyki naszych miast, zakładów pracy, osiedli, w których żyjemy.

19 maja. — Swoją dzień będą obchodzić członkowie amatorskiego ruchu artystycznego w mieście i na wsi. W programach znajdują się liczne koncerty zespołów na estradach, w domach kultury, świetlicach.

20 maja. — Dzień działacza kultury. Będzie to święto wielu tysięcy ludzi, dzięki którym nasza kultura, mimo niełatwych często jeszcze warunków staje się coraz bardziej powszechna, a liczne placówki kulturalne tęgą żyłką, oferując interesujące programy. Przewidziane są spotkania działaczy z władzami i społeczeństwem. Najbardziej zasłużyli otrzymają wyróżnienia.

21 maja. — W dniu tym będziemy mogli zapoznać się z dorobkiem polskiego filmu uświetnić m. in. w projekcjach najbardziej wartościowych dzieł naszych filmowców.

26 maja. — Będzie to dzień kilkuset regionalnych towarzystw kultury, które mają tak wielkie zasługi w pobudzeniu inicjatyw społeczno-kulturalnych w swoich miastach, gminach i regionach, troszczą się o zachowanie ich tradycji, odtwarzają opieką zabytki, dbają o estetykę swych miejscowości.

27 maja. — Dzień muzeów, skansenów i parków narodowych, będzie okazją do bliższego poznania zwłaszcza przez młode pokolenie, zabytków naszej przeszłości i piękna ojczystej przyrody.

Swoje święto w tym samym dniu obchodzić będą nasi drukarze.

1 czerwca. — Będzie to Dzień Dziecka. Zaplanowano liczne imprezy dla dzieci i młodzieży, a także popisy umiejętności artystycznych młodego pokolenia przeznaczone dla starszych. Szczególnie uroczysty charakter tego dnia wynika z faktu, że obchodzimy Międzynarodowy Rok Dziecka.

3 czerwca. — Święto kultury naszej wsi, a zarazem dzień polskiej sztuki ludowej i folkloru. Będzie to ostatni akord tegorocznych „Dni Oświaty, Książki i Prasy”.

DNI KULTURY, OŚWIATY, KSIĄŻKI I PRASY

ganizacyjnych rozmiarach, lecz jakże cenne dla kultury polskiej w minionych dziesięcioleciach. To właśnie ówczesne „Dni” stanowiły ważny czynnik w upowszechnianiu najcenniejszych wartości postępowych nurtów kultury narodowej i ogólnoludzkiej wśród ogółu ludzi pracy, w odbudowie tej kultury po barbarzyńskim okresie okupacji bardzo często niemal od początku. Jest to okazja, aby serdecznie wspomnieć tysiące ludzi, ofiarnych działaczy, którzy często w jakże trudnych warunkach tworzyli podstawy przyszłego rozwoju kultury.

W poszczególnych województwach, miastach i gminach przeważają się urozmaicone programy „Dni”. Podobnie, jak co roku wypełniają je koncerty, kiermasze książek, przeglądy zespołów, wystawy plastyki, spotkania twórców z zalogami zakładów pracy itp. U podstaw tych programów znajdują się jednak głębsze treści, idee i problemy mające dużą wagę w kształtowaniu życia naszego kraju.

Jak podkreślono w Założeniach Programowych „Dni”, w czasie ich trwania będziemy ukazywać rolę PZPR i socjalistycznych założeń ustrojowych, dzięki którym powstały warunki do wielkich osiągnięć kulturalnych naszego narodu w Polsce Ludowej, uwzględniając przy tym szczególne znaczenie realizacji uchwał VI i VII Zjazdu PZPR.

Duże znaczenie ma ukazanie ważnej roli, jaką odgrywa polska kultura i nauka we współpracy z zagranicą, w umacnianiu braterskiej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami wspólnoty socjalistycznej.

Przedsięwzięcie związane z Międzynarodowym Rokiem Dziecka, a co się z tym wiąże rozwijanie artystycznych zainteresowań i uzdolnień wśród młodego pokolenia — to kolejny ważny akcent tegorocznych „Dni”.

Program majowego festiwalu będzie służył upowszechnianiu wielkiej i szlachetnej idei wychowania społeczeństwa dla pokoju, idei wysuniętej na międzynarodowym forum przez Polskę i przyjętej z wielkim zainteresowaniem i poparciem na świecie.

NIE TYLKO HISTORIA

Dalszy ciąg ze str. 1

powiedzieć, jak długo trwał nalot. Gdy odleciały samoloty, płynęły domy i wagony kolejowe. Zginęło wtedy wielu ludzi. Zginęło wielu żołnierzy radzieckich, którzy z karabinów maszynowych, działek szybkostrzelnych i armat przeciwlotniczych ostrzeliwali niemieckie samoloty.

Następnego dnia nie było pierwszomajowej akademii, nie było wiece, nie było pochodu.

Maj 1945 roku spędzałem już w Chełmie Lubelskim, ale z tego nie pamiętam. A przecież był to najważniejszy maj w 35-letniej historii PRL. Maj zwycięskiego końca wojny, maj, w którym po raz pierwszy święto klasy robotniczej stało się oficjalnym, państwowym świętem. Proszę więc mi wybaczyć, że tę opowieść zacząłem od osobistych wspomnień z roku poprzedniego, gdyż to, co działo się w maju roku 1945, muszę odzwierciedlać już z dokumentów, wspomnień i relacji.

Wojna toczyła się już na ziemiach niemieckich, 23 kwietnia wojska radzieckie wdarły się do Berlina. W składzie I Frontu Białoruskiego dowodzonego przez marszałka Georgija Żukowa, walczyły wojska polskie. Od południa dotarły do przedmieść Berlina wojska I Frontu Ukraińskiego. 25 kwietnia wojska radzieckie

zamknęły pierścienie wokół Berlina, rozpoczął się szturm stolicy Trzeciej Rzeszy. W szturmie tym wzięły udział: 1 Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, 2 Brygada Artylerii Haubic, 1 Samodzielna Brygada Moździerzy i 6 Batalion Pontonowo-Mostowy.

Tego samego dnia, 25 kwietnia 1945 roku, w okolicy Torgau, zwiadowcy z 89 Dywizji Piechoty 1 Armii amerykańskiej spotkali się z czołową 58 Dywizją Piechoty Gwardii, wchodzącą w skład 5 Armii Gwardii i Frontu Ukraińskiego. W kilka dni później żołnierze 61 Armii radzieckiej i 9 Armii amerykańskiej spotkali się pod Wittemberga.

28 kwietnia Agencja Reutersa podała, że Heinrich Himmler zwrócił się do rządów Wielkiej Brytanii i USA z propozycją kapitulacji. Rząd Wielkiej Brytanii oświadczył na to, że „Jedynie propozycja bezwzględnej kapitulacji uczyniona wszystkim trzem mocarstwom może być wzięta pod uwagę”. Podobne oświadczenie złożył rząd USA. Do kraju dotarła też wieść o skazaniu Benito Mussoliniego na karę śmierci przez sąd ludowy w Mediolanie. Mussolini został rozstrzelany.

W BERLINIE

trwały ciężkie walki.
Była godzina 3.50, dnia 1 maja 1945

roku. Na stanowisku dowodzenia 8 Armii Gwardii pojawił się generał piechoty Krebs, szef sztabu generalnego OKH i oświadczył, że jest upoważniony do nawiązania kontaktu z dowództwem Armii Czerwonej dla podjęcia rokowań o kapitulację. O godzinie 4 generał Wasilij Czujkow, dowódca 8 Armii Gwardii, zameldował marszałkowi Żukowowi, że zgod-

nie z tym, co mówi Krebs, władzę na mocy testamentu Adolfa Hitlera obejmuje admirał Karol Dönitz, a wraz z nim Goebbels i Bormann. Hitler popełnił samobójstwo 30 kwietnia 1945 roku.

Wiadomość o tym ważnym fakcie prasa polska podała dopiero 3 maja 1945 roku:

„1 maja, o godzinie 20 — pisał „Głos Ludu” — radio niemieckie doniosło, że Hitler zmarł w gmachu kancelarii Rzeszy. Następcą jego został admirał Dönitz.”

Wiadomość tę uznano za kolejny chwyt propagandy hitlerowskiej. „Głos Ludu” informację tę opatrzył następującym tytułem: „Nowy chwyt hitlerowski — śmierć Hitlera”.

Marszałek Georgij Żukow, otrzy-

WOKÓŁ NAS

NOWE FILMY „SILESII”

W katowickim zespole filmowym „Silesia”, którego kierownikiem artystycznym jest od kilku miesięcy poeta i dramaturg — Ernest Bryll, trwają prace nad realizacją kilku filmów fabularnych i seriali telewizyjnych. Ukończono już pełnometrażowe zdjecia w okolicach Kamienia Pomorskiego, do realizowanego przez Pawła Komorowskiego filmu „Podgaje”, który ukazuje jeden z tragicznych epizodów bitwy o Wał Pomorski. Rozpoczęte zostaną niebawem zdjecia dziecięcych bohaterów z proletariackiego środowiska Zagłębia w dniach poprzedzających wybuch II wojny światowej. W zespole tym powstanie również kilka filmów dla telewizji. Trwają więc przygotowania do realizacji „Białej gorączki” — wg nagrodzonej w konkursie na utwór o tematyce górniczej powieści Feliksa Netza, rozpoczęto pierwsze zdjecia do 10 odcinków serialu „Jana Rybkowskiego „Kariera Nikodema Dyzmy”, będącego adaptacją powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Powstanie też serial będący ekranizacją powieści Zbigniewa Zielenki „Orły na sarkofagach” a ukazujący panoramę Śląska pod panowaniem książąt piastowskich w okresie rozbiecia dzielnicowego Polski i prób jej zjednoczenia.

NOWA STARÓWKA W ZŁOTORYI

W Złotoryi, w woj. legnickim, która prawa miejskie otrzymała od księcia Henryka Brodatego w 1211 r. prowadzi się zakrojona na dość szeroką skalę renowacja zabytkowej starówki. Dotychczas zrekonstruowano mury obronne dawnej warowni, kilka obiektów sakralnych i budowli publicz-

nych, w tym m. in. ratusz. Pochodzący z XVII stulecia tzw. katownię adaptowano na muzeum regionalne. W budynku pochodzącej z XVIII w. szkoły zlokalizowany został natomiast klub nauczycielski. Przystąpiono też do rewaloryzacji kompleksu 10 dobrze zachowanych starych budynków mieszkalnych w rynku i przyległych ulicach. Domy te wzniesiono w okresie od XVI do XVII wieku, większość z nich wymaga przebudowy wewnątrz i przystosowania do współczesnych wymogów mieszkańców. Pierwsze dwa budynki z tego zespołu przekaże się do użytku jeszcze w tym roku. W części parterowej znajdują się sklepy i placówki usługowe.

KULTURA ROBOTNICZA ŻYRARDOWA

W Żyrardowie i najbliższej okolicy prowadzone są badania na temat procesu tworzenia się i przeobrażeń kultury robotniczej w XIX i XX w. Dotychczasowym efektem tych prac jest 180 wywiadów z najstarszymi mieszkańcami Żyrardowa, których relacje przypominają m.in. tradycje różnych świąt i obrzędów rodzinnych w tworzącym się wówczas środowisku robotniczym. W miejscowym muzeum zgromadzono liczne sprzęty domowe obrazujące ówczesne warunki bytowania robotników, zgromadzono również materiały dotyczące kultury umysłowej miasta. Wnioskami z poszukiwań będą niewątpliwie cennym przyczynkiem w pracach naukowych dotyczących przemian kulturalnych, politycznych i społecznych w okresie tworzenia się w Żyrardowie silnego ośrodka robotniczego.

W PRZEWORSKU DOBRZE TAŃCZA

W Domu Kultury w Przewor-

sku w woj. przemyskim, pomyślnie rozwija się młodzieżowy ruch artystyczny. Na wyróżnienie zasługuje dziecięcy zespół tańca ludowego, składający się z 20 par. W swym repertuarze ma on m. in. tańce prezentujące bogaty folklor regionu. Zespół, który często występuje i cieszy się uznaniem, został wyróżniony w międzyregionalnym przeglądzie piosenki i tańca Kraju Rad — imprezie organizowanej niedawno w Rzeszowie pod hasłem „Barwy przyjaźni”. Kierownictwo przeworskiej placówki uważa, że z grupy tej wyróżniono dojrzały zespół złożony z członków którzy od dziecięcych lat uczą się tańca i poznają rodzinny folklor. Wytłoniło tu grono młodzieży starszej, która czyni systematyczne postępy. Większość dziewcząt i chłopców tańczących w zespole wywodzi się z miejscowych szkół.

35 LAT TEATRU W RZESZOWIE

Teatr im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie obchodził w br. swoje 35-lecie. Jego pierwszy spektakl — część „Wesela” Wyspiańskiego z udziałem obecnej patronki — znanej aktorki W. Siemaszkowej, odbył się jeszcze 25 listopada 1944 r. Od tego czasu rzeszowski teatr dał blisko 300 premier. Liczba przedstawień w ciągu roku wynosi ok. 400, przy czym co najmniej 150 z nich odbywa się w terenie. Łączną liczbę widzów, którzy oglądali przedstawienia teatru ocenia się na ok. 4 mln. osób. Placówką współpracuje z teatrami we Lwowie, Koszycach i Preszowie, a także z kilkoma zakładami południowo-wschodniego regionu kraju m. in. z WSK Rzeszów, hutą „Stalowa Wola” i „Autosanem”, prezentując zalogom swoje spektakle. Ostatnio teatr wystąpił z inscenizacją nie granej w naszym kraju od 1925 r. sztuki Tadeusza Micińskiego „Kniaź Potiomkin”, która wzbudziła duże zainteresowanie krytyki.

ROZSTRZYGNIECIE KONKURSU NA POWIEŚĆ O ZIEMI SIERADZKIEJ

Jury Konkursu literackiego na powieść lub tom opowiadań tematycznie związanych z województwem sieradzkim — w składzie: Jan Kowalski (przewodniczący), Jerzy Wawrzak, Jerzy Rzymowski, Jacek Zaorski, Bolesław Urbański i Adam Fudała (członkowie), Krystyna Brodowska (sekretarz) — postanowiło jednomyślnie nie przyznać I i II nagrody, natomiast przyznać dwie III nagrody, po 20 tys. zł każda:

Ryszardowi Dominikowi z Sieradza (godło „Jedlina”) — za utwór pt. „W godzinę po zachodzie słońca”;

Michałowi Clapalo z Wrocławia (godło „Karo”) — za „Incident”.

Ponadto przyznano: jedno wyróżnienie, w wysokości 10 tys. złotych Janowi Babińskiemu z Łodzi (godło „55”) — za „Nadwarciański zapis” oraz dwa wyróżnienia po 5 tys. złotych: Piotrowi Ratajczakowi z Poznania (godło „Piotr”) — za utwór pt. „Zanim nadejdzie dzień” oraz Janowi Chrzanowskiemu z Pabianic (godło „Pokolenie”) — za „Sagę mojego rodu”.

Prace wyróżnione III nagrodą ukażą się na kładem Wydawnictwa Łódzkiego.

W CZTERDZIESTYM

Józef Stalin, dowiedziawszy się o śmierci Hitlera, powiedział tylko: — Dojrzał się, lajdak. Szkoda, że nie udało się wziąć go żywcem...

Wysłuchawszy następnie relacji o propozycji Goebbelsa, oświadczył: — „Żadnych rokowań, z wyjątkiem bezwarunkowej kapitulacji, ani z Kresem, ani z innymi hitlerowcami nie prowadzić. Jeśli nie zdarzy się nic nadzwyczajnego, nie dwojcie do rana, chcę trochę odpocząć. Jutro mamy paradę 1-majową.”

Był to już ranek 1 maja 1945 roku. Zaczynał się ostatni miesiąc wojny.

W WYZWOLONEJ POLSCE

był to pierwszy maj niepodległości.
W Łodzi, 25 kwietnia 1945 roku,

lanym wygrało przetarg na rozbieranie ruin. Chodziło głównie o ruiny, które zagrażały trasom komunikacyjnym. Przystąpiono do odbudowy elektrowni w Pruszkowie, która miała zasilać energią elektryczną odbudowywaną się Warszawę. Na Ziemię Odzyskaną jechały pierwsze transporty osadników. Wojsko zakończyło obławianie ziem. W kopalniach Sosnowca brakowało budulca dla stawiania chodników oraz benzyny do lamp górniczych. Do Łodzi dotarły transporty z radziecką bawelną.

Komitet Wojewódzki PPR w Łodzi wydał odezwę do robotników. W odezwie tej stwierdzono między innymi: „W dniu naszego święta państwowego, 1 Maja, meldujemy naszej Ojczyźnie — my żołnierze frontu pra-

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDICH, JĘZENIJSZ JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), CHROCIELEWSKI ANDRZEJ, F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ANDRZEJ AJER WICZ, EWA PANKIEWICZ, KRYSZTOF POGORZELC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ

LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz), IWANICKI BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, RYSZARD LUCYJSZY (fotoreporter), STANISŁAW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW OŁOWSKI, JERZY PANASZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI.

To bardzo trudno opowiadać obcym ludziom o swoim życiu. Czasem jednak trzeba. — Przeżyłaś — mówią — tyle, to powiedz innym, jak to było dawniej. Młodych trzeba wychowywać.

Dlatego, po tym spotkaniu z młodzieżą, wcześniej wróciła do domu. Nie poszła już do fabryki. W domu było cicho i spokojnie. Usiadła w fotelu i jeszcze raz spojrzęła na zegarek. Właśnie wtedy naszły ją te wspomnienia. Skojarzyły się z zegarkiem. Opowiadała o partyzantce i mechanicznie spojrzęła na zegarek, aby stwierdzić, ile jeszcze ma czasu. I wszystko stało się jak żywe przed oczyma. Teraz, siedząc w fotelu, jeszcze raz mogła wrócić do wspomnień. Tych bardziej osobistych, nie ze wszystkim przeznaczonych dla innych.

Był młody i bardzo przystojny. Bardzo mi się podobał. A ja miałam wtedy 17 lat i chciałam mieć zegarek. Ot, takie dziewczęce marzenie. Powiedziała mi o tym. Mój ojciec był warszawskim brukarzem. W czasie wojny wysiedlili nas w Lubelskie. Skądś miałam wziąć pieniądze, żeby kupić sobie zegarek? Zostałam przecież sama, jak palec. Bosa i tylko w sukience, kiedy wyciągnęli mnie z grochu, gdzie przeleżałam półtora dnia. To matka uratowała mi życie. Kiedy Niemcy zastukali do drzwi wyrzuciła mnie oknem do ogrodu. Któryś nawet strzelał za mną. Leżałam tak i nawet nie płakałam. Balam się. Okropnie się balam.

Dopiero później dowiedziałam się, że ojciec zginął w partyzantce a matkę zamordowali w obozie, bo nie chciała powiedzieć, gdzie jest ojciec. Ja też wiedziałam, gdzie on jest i dlatego balam się jeszcze bardziej. Szukałam mnie. Ktoś mnie wołał: Janka! Nie ruszyłam się. Dopiero następnego dnia, kiedy wołał ją po imieniu, poszłam. Zostawiając mi okno do ogrodu. Tu będzie teraz twój dom — powiedzieli. Ale moim domem stał się las.

Byłam łączniczką w GL, a on był oficerem radzieckim. To jemu powiedziałam o zegarku. Dał mi pieniądze. — Masz — powiedział — każda pojedziesz w Lublin, to kupi sobie zegarek. Jeździłam często do Lublina, do Warszawy. Wozilałam różne dokumenty. Po przekazywaniu przesyłek lażałam sobie po mieście i oglądałam wystawy. Zabawiałam się w turystykę. W Lublinie poszłam od razu do zegarmistrza. Nie mi się jednak nie podobało. Poszłam więc na Krakowskie Przedmieście do największego sklepu i zaczęłam oglądać zegarki. Już miałam kupić. Wyjechałam nawet pieniądze. Ale wtedy odezwał się ten gestapowiec, który widać obserwował mnie od dawna.

— Skąd masz tyle pieniędzy? — zapytał.
— Sprzedalam ją, to i mam.
— Dostałaś od partyzantów?
— Sprzedalam ją.

Zabrał mnie na Majdanek i strasznie pobili. Po drodze. Na Majdanku oddał mi bardzo grubym gestapowcowi. Ten kazał mi się najpierw umyć, cała byłam we krwi. Potem zapytał, skąd mam pieniądze?

— Sprzedalam ją. Dostałam ze wsi. Jestem tu służącą. Ale wcale nie chcę wracać do swojego państwa, bo mi tam było źle. Mogę tu zostać. Będzie panu sprężała, bo tu jest brudno. Bardzo ładnie umiem sprzątać.

I on mi uwierzył. Opatrzył mi rany. Dali fartuch i kazali sprzątać. Później zapytał, czy umiem kopać kartofle. Powiedziałam, że tak. Trzy dni chodziłam kopać te kartofle. Trzeciego dnia uciekłam. Długo kluczyłam lasami, nim dotarłam do obozu. Po drodze byłam w lesie.

czówce, gdzie powiedziałam, że uciekłam z Majdanka. Znała leśniczego obcięła mi włosy i rozjaśniła je. W sztabie bardzo się na mnie gniewali. Chcieli nawet rozprawić się z tym radzieckim oficerem, za to, że mi dał pieniądze i naraził oddział na niebezpieczeństwo, bo bał się, że mogłam powiedzieć, gdzie oni są. Albo, gdyby śledzili mnie ci z leśniczówki. Ale jakoś ich przekonałam.

Dziś to wszystko wydaje mi się prawie nieprawdopodobne. Ale tak było. Moja partyzancka przeszłość długo jeszcze dawała o sobie znać. Do cywila przeszedłam jako kapitan Wojska Polskiego. Ale to też nie było łatwe. Zetknęłam się wtedy z Nikołajem Bulganimem, który był przedstawicielem ZSRR przy PKWN w Lublinie. Jego adiutant powiedział: — Idiot et a maladaya partizantka. Bulganim potraktował mnie bardzo po ojcowsku. Powiedział, że nie powinnam dłużej przebywać wśród żołnierzy, że powinnam się uczyć. Długo się już nawojujowałam. Nie bardzo mi się to podobało. Ale on widać podzielił się swoimi obawami z kimś z polskich władz, bo postanowili mnie wysłać z Lublina. Chciałam do Warszawy, ale wysłano mnie do Łodzi.

Zaczęłam pracować i uczyć się w technikum. Byłam też przewodniczącą ZWM na Bałutach. Pamiętam, jak na Ogrodową do Poznańskiego przywieźli nowe maszyny. Robotnikom to się bardzo nie podobało. Pamiętali sprzed wojny, że nowe maszyny nigdy na dobre robotnikom nie wychodziły. Myśleli, że tak będzie i teraz. Na portierni nie chcieli mnie przepuścić. — Tam cię pobiją — mówili. Poszłam. Powiedziała, że cała moja rodzina zginęła w walce z Niemcami za wolną Polskę, że byłam w lesie, że bliźniaczym gestapowcy, że byłam ranna i prawie rok leżałam w szpitalu. Jeszcze dziś rana daje o sobie znać. Od tej pory mam przyjaźniół w „Marchlewskim”. Pamiętam, że wtedy jedna z robotnic uszyła mi nawet sukienkę, bo nie byłam najlepiej ubrana.

Ale w partii gniewali się na mnie. — Ty Janka — mówili — zawsze musisz działać jak w partyzantce. Już skończyły się te czasy. Trzeba inaczej. Ale sami nie bardzo wiedzieli, jak trzeba. Ja też nie bardzo jeszcze wiedziałam. W czasie referendum, kiedy nie miałam 21 lat, nie pozwolono mi głosować. Zrobiłam taką awanturę, że chyba na ulicy było słychać. Nie mogłam zrozumieć, że jak trzeba było naradzać życie, to byłam dobra, nikt nie pytał, ile mam lat, a teraz, kiedy trzeba opowiedzieć się za władzą ludową, to wyciągają jakieś przesłanki przepisy. Czuliśmy się tym urażona, dotknięta i poniżona. Innych agitowałam, żeby głosowali „Trzy razy tak”, a sama nie mogłam. Ja się wtedy nikogo nie balałam. I to mi bardzo pomogło w życiu.

W 1951 roku powiedzieli mi, że zostaje dyrektorem fabryki pasmanteryjnej, która mieściła się przy ulicy Kopernika 1/3. Nie chciałam, ale nie miałam do powiedzenia. Zawieźli mnie do fabryki i powiedzieli: — Oto jest Janina Kalinowska i ona będzie waszym dyrektorem. Wtedy była taka moda, żeby kobiety robiły dyktorami, bo przemysł lekki, to przemysł kobiecy. A poza tym taka była też potrzeba. Fachowcy byli sprzed wojny, nie zawsze przychylni nastawieni do ludowej władzy. Przemysł borykał się z ogromnymi trudnościami i nie można było sobie pozwolić, aby czyjaś wola trudności te zwiększała. Potrzebni byli ludzie zaufani, pewni politycznie, na których można było polegać. Widać uznano, że można na mnie polegać, że jestem pewna. Może trochę tu zawzięła moja partyzancka przeszłość i to, że się nikogo nie bałam, może liczyli, że dam sobie radę i w fabryce, tak jak dawałam w czasie walki. Nie wiem. Ale zostałam dyrektorem.

To było jeszcze trudniejsze i cięższe niż w lesie. Przyjęto mnie obojętnie. Nikt mi nie powiedział, nikt mi nie chciał pomóc. Chyba podśmiewali się ze mnie po kryjomu. Ale ja zawiązałam się. Jestem uparta. Byłam już roztępiła, ale to było mało. Zaczęłam się uczyć sama. Później poszłam na studia. Wszystkiego musiałam się uczyć. Jak się fabryka rozdziała, jak

się współpracuje z ludźmi, co to są inwestycje, jak się do ludzi przemawia na nadanych produkcyjnych, jak się ich przekonuje. Wszystkiego. No i nauczyłam się. Później byłam dyrektorem Północno-Łódzkiego Zakładów Przemysłu Jedwabniczego, a teraz jestem dyrektorem największego kombinatu w przemyśle jedwabniczym — „Brokatu”. Ale, gdy myślę o tym, to wydaje mi się, że to nie moje życie, że to film oglądam lub książkę czytam, że to wszystko nie mnie się wydarzyło.

Nie lubię wspomnień. Teraz mnie tak to naszło i wszystko przez to spotkanie i ten zegarek. Czasem trzeba jednak spojrzeć wstecz, na przebytą drogę, aby zobaczyć, jak człowiek daleko odszedł od tamtych czasów. A było to tak niedawno.

Bardzo Kocham dzieci, choć sama mam tylko córkę. Wychowałam ją na mądrą dziewczynę. Teraz mogę zająć się innymi dziećmi. Zanimiłam kiedyś sześć książeczek mieszkaniowych, ufundowanych przez nasz kombinat, do Domu Dziecka na Górnym. Wręczyłam je dzieciom i zrobiło mi się wstyd sa-

raz się wszyscy z tego cieszymy, bo dzięki temu straty były mniejsze i ludzie na Górnym nie odczuli tak bolesnie trudnych warunków.

Ktoś mnie zapytał, czy to trudno być dyrektorem? Bardzo trudno. I nie tylko wtedy, kiedy mi było tak strasznie, jak w lesie. Ale i teraz nie jest łatwo. Daję sobie jakoś radę. Studiowałam i wychowywałam małą. Zabrałam ją kiedyś z przedszkola i poszłam na egzamin. — Mamusi, czy już zdajesz? — pytała, bo się pewnie nudziła. Zdałam. Ale tak po prawdzie, to ciągle zdaję jakiś egzamin. Przed sobą i przed innymi.

Wszyscy mamy kłopoty. Ale inni mogą być zdenerwowani, borykać się ze swoimi zmartwieniami, a ja nie. To zresztą nieprawda. Tylko ja nie mogę tego pokazać. Poszłam kiedyś do tkalni, a tam kobiety narzekały, że w sklepach nie było śmietany. Nie dowieźli. Więc im tłumaczyłam, że może ten co wozil zapili i nie przyszedł do pracy. A u nas to się nikomu nie zdarza? Zawsze myślicie tylko o swoich sprawach? O tym, że ja planu mogę nie wykonać, to już nie myślicie. Pewnie, że wasze sprawy są wam najbliższe. Ja to rozumiem. Pomysłicie

IANINA KALINOWSKA

NIE BAĆ SIĘ ŻYCIA

mej siebie. Ze też o tym nie pomyślałam wcześniej. Do dziś pamiętam smutek w oczach tych, które książeczek nie dostały. Lzy mi się w oczach zakręciły, ale przecież nie wypadało, żeby taka poważna pani dyrektor płakała przed małymi dziećmi. Stłumiłam wzruszenie i zamieniło się ono w złość. To zawsze tak — pomyślałam sobie wtedy — jak się takim sprawami zajmują mężczyźni. Forse dadzą i już są szczęśliwi, że załatwili sprawę. Jeszcze się przed dyktorem pochyla, że ufundowali tyle a tyle książeczek i niech im chwala pływają na głowie. A przecież to można zupełnie inaczej.

Mam na Górnym radę dyktorów. Mnie zrobili przewodniczącą tej rady i dobrze. Teraz im powiem, co o tym myślę. I powiedziałam. Uchwaliłiśmy, żeby zbierać pieniądze na koncie PKO i oddać do dyspozycji kuratora. Po to or jest, żeby jednakowo myślał o wszystkich dzieciach. Niech daje książeczki mieszkaniowe tym, którzy tego akurat potrzebują. Zebrałiśmy już 1,5 miliona złotych dla dzieci na książeczki mieszkaniowe. Jeśli inne dzieci nie zrobią to samo i na tym nie poprzestaną, to uzbiera się ładna suma.

Umyśliłiśmy jeszcze, żeby jednak opieka fabryki nie kończyła się tylko na ufundowaniu książeczek mieszkaniowych, ale żeby każde dziecko miało też opiekę tak długo, jak długo będzie to potrzebne. Żeby się zakładał i o pracę zatrudnił i o studia. Bo to potrzebne. Niby się mówi, że wszystkie dzieci są nasze, ale samo mówienie nie wystarczy.

Taka rada dyktorów to dobra rzecz. Wspólnie można wiele załatwić. Niby to stara prawda, a jak często się o tym zapomina. Każdy robi tylko dla siebie i za siebie. Myśmy wspólnie wiele zrobili, kiedy przyszła zima. Było jakoś lepiej borykać się z żywiołem. I te-

ż czasem o innych. Nie zdarza się wam załatwiać swoich spraw kosztem zakładu? Pogadaliśmy sobie i jakoś rozeszło się po kościach. A śmietany nie powinno brakować. To też prawda.

Lubię mnie chyba w fabryce. Do domu zapraszają. Poczęstują czymś, co z sobą do fabryki przyniosła. Pogadają. Przychodzą, że swoimi kłopotami i zmartwieniami. O radę proszą. To znaczy mają zaufanie. I z kadra dobrze mi się pracuje. I wychowałam kilku dobrych dyktorów, którzy ode mnie poszli na samodzielne stanowiska. Mogę być zadowolona z tego, co robię. A to ważne. No i ten Sztandar Pracy i klasy też mi na ładne oczy nie dali. Już nie mówią, że działam po partyzantku. Nawet wielu nie wie, że byłam w partyzantce. To i dobrze. Sama nie lubię o tym wspominać. Wszystko przez ten zegarek.

Co to właściwie znaczy działać po partyzantku? Czy ja wiem? Na swoją rękę. Bez zgodnień. Niby dla dobra sprawy, ale innymi metodami. Czy rzeczywiście tak nie działam? Czasem mi się przecież zdarzy szukać pomocy u kolegów, znajomych, wykorzystywać ich sympatię dla mnie, nasze stare koneksje. Można to określić „metoda uszczelki”. Jak to zwąć, tak zwąć, ale bez tego, niestety, wszystkiego się nie załatwi. Ale lepiej się do tego nikomu nie przyzwyczaić. Każdy zresztą tak robi. Chwiał się ma za co.

Rozkleiłam się trochę. Dość już tych wspomnień. Która to godzina? Znowu ten zegarek. Ale już nic z tego. Więcej wspomnień nie będzie. Zobacze, co mam w terminarzu na jutro i do roboty. Trzeba zrobić coś do jedzenia. Już za chwilę powinni wszyscy być w domu.

Notowała: BOGDA MADEJ

NIE TYLKO HISTORIA

cy — że nie pozostaniemy w tyle za naszymi braćmi żołnierzami Wojska Polskiego, że pracą nad odbudową kraju wzbijemy również gwiazdę do trumny wroga”.

30 kwietnia młodzież Łodzi przedfilowała ulicami miasta z pochodniami, przy dźwiękach orkiestry, z pieśnią.

Wstawał pierwszy w całej Polsce

kiej Rady Robotniczej, uznającej niepodległość Polski. Pierwszy raz legalnie, bez „opieki” policji, obchodziliśmy w naszej gminie święto ludu pracującego.”

Świątkiem majowego święta w 1945 roku w Zychlinie był Jan Tomczak.

„1 Maja święciliśmy radośnie po raz pierwszy jako nasze narodowe

lo nikomu nastroju, że niektórzy przed pójściem na pochod najpierw poszli do kościoła. Po odwołaniu pacierzy różnie śpiewali potem „Mędnarodówkę”, „Czerwony sztandar” i „O cześć wam, panowie magnaci”.

W WARSZAWIE

Plac Teatralny otoczony był ruinami. Odświętnie udekorowanymi ulicami ciągnęli od rana na ten plac tłumy warszawiaków, wojsko, młodzież, członkowie różnych organizacji, robotnicy warszawskich fabryk. Na trybunie zgromadzili się przedstawiciele KRN, Rządu Tymczasowego, Wojska Polskiego i Armii Czerwonej. Wiece zgromadziły przedstawicieli Rządu Związków Zawodowych — Rusteki. W imieniu KC PPR przemówił do zgromadzonych Stanisław Skrzyszewski. Po wiece pochod ludności Warszawy przedfilował Krakowski Przedmieście. Trybuna honorowa stała przed ruinami budynku Prezydium Rady Ministrów. Na trybunie byli obecni między innymi premier Edward Osóbka-Morawski, ministrowie: Hilary Minc, Stefan Matuszewski, Wincenty Rzymowski, oficerowie Wojska Polskiego i Armii Czerwonej, przedstawiciele różnych organizacji. Przed trybuną przejechało między innymi 100 samochodów z dziećmi warszawskich robotników.

Po południu w sali „Romy” odbyła się akademія, na której przemawiał

prezydent Warszawy, Tołwiński. Po akademii odbył się uroczysty koncert.

W ŁODZI

w przeddzień 1 maja też odbyło się wiele akademii. W Domu Żołnierza odbyła się na przykład akademія dla tysięcy łódzkich dzieci. Dzieci ułożyły list do Rządu Tymczasowego i Józefa Stalina. Siuchały wierszy Juliana Tuwima i Ewy Szeiburg-Zarembiny. Otrzymały słodczyce.

Akademię w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi zajął przewodniczący komitetu pierwszomajowego — Ignacy Loga-Sowiński. Przemawiali przedstawiciele PPR, PPS, SD. W imieniu SL mówił wojewoda łódzki — Jan Dąb-Kociol. Przed zgromadzonymi w sali Teatru Wojska Polskiego przedstawicielami Łodzi wystąpiła orkiestra symfoniczna pod dyktando A. Górnego. Spiewała Halina Dudicz-Latoszewska, na fortepianie grał Władysław Kedra, na skrzypcach — Grażyna Baciewicz, wystąpili też aktorzy Teatru Wojska Polskiego i Teatru Miejskiego: Aleksander Zelwerowicz, Janusz Warminski, Zofia Tymowska, Janina Romanówna i inni.

Na akademii zorganizowanej przez młodzież przemawiał do zgromadzonych oficer Armii Czerwonej, major Minakow.

Dzieńściami trasami, z Bałuckiego Rynku, ulicy Srebrzyńskiej, Zielonego Rynku, placu Dąbrowskiego, placu Leonarda (pl. Niepodległości), Matego Ryneczku na Chojnach, z boiska RTS Widzew, 1 maja 1945 roku zwały się szeregami ciągnęli łódzianie na

Wodny Rynek, aby następnie, o 10.30 ruszyć wielkim pochodem na Polesie Konstantynowskie, gdzie zawsze zdążyły łódzkie pochody pierwszomajowe. Tam, gdzie dziś wznosi się pomnik postawiony ku czci poległych w Rewolucji 1905 roku, składano hołd wszystkim, którzy w walce o socjalizm oddali swe życie. Tak było i wówczas, 1 maja 1945 roku.

Gdy tylko ruszył pochód z Wodnego Rynku, na placu Wolności zapalił się znicz na grobach żołnierzy radzieckich. Na pomniku postawionym ku czci ich pamięci umieszczono napis: „Za naszą i waszą wolność”.

Pochód posuwał się ulicą Główną, Piotrkowską, przez plac Wolności do ulicy 11 Listopada (Obrońców Stalingradu) i dalej na Polesie Konstantynowskie. Na przedzie szli członkowie komitetu pierwszomajowego. Sprawozdawca „Rzeczypospolitej” zanotował kilka hasel, jakie niosli w pochodzie przedstawiciele inteligencji pracującej: „Nauka dla mas”, „Kultura dla narodu”, „Celem lekarza zdrowie społeczeństwa”. Pochód szedł ulicami Łodzi dwie i pół godziny.

Po pochodzie bawiono się radośnie w fabrycznych klubach, świetlicach, w parkach i na placach.

W osiem dni później, 9 maja 1945 roku, świat obiegła radosna wieść: koniec wojny!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Wspomnienia Stefana Pawłaty i Jana Tomczaka ukazały się w książce „Zrodzona z walki”, Kłw, Warszawa 1976.

PIĄTYM

WOLNY MAJOWY DZIEŃ

1945 roku. Nie udało mi się ustalić, jaka była tego dnia pogoda, ale nastrój tamtego wotorku, który stał się szczególną niedziela, można odtworzyć ze wspomnień.

„Jak obchodzono 1 maja 1945 roku w jednej z gmin dawnego powiatu łowickiego, wspomina Stefan Pawłata: „

„Gdy nadszedł 1 Maja, zgromadzili się w naszej gminie tłumy ludzi. Pochód rozpoczęła nowa rada gminna, później szła młodzież szkolna z nauczycielstwem, a na końcu sołtys z mieszkańcami wsi. Starzy chłopcy śpiewali „Mędnarodówkę” i pieśń „Gdy naród do boju wystąpił z orężem...” Nauczycielka z naszej wsi, Henryka Kazalska, wygłosiła opracowany przez siebie referat, w którym nawiązała do uchwały Piotrogrodz-

święto. Ponieważ nie mogliśmy oczekiwać, aby do naszego miasteczka przybył z referatem przedstawiciel KP PPR, a tym bardziej KW, przeto Komitet Miejski w Zychlinie polecił mi przygotowanie się do wygłoszenia przemówienia. Zabrałem się do roboty, a tu nagle przyczepiła się do mnie angina. Nasz i sekretarz, Stanisław Stanicki, i mój przyjaciel, Władysław Bergier, sekretarz organizacji PPR w Dobrzelinie, energicznie zabrali się do kurowania mojego gardła. Na wszelki wypadek poszedłem do lekarza...

„1 Maja, wymierzony, owinięty grubym szalikiem, znalazłem się na wiecowej trybunie. Na szczęście głos wrócił do formy.”

„Po wiece — wspomina dalej Jan Tomczak — i pochodzie w Zychlinie ktoś zabrał mnie na motor i jeździliśmy do późnej nocy oglądać rozbawione tłumy w Kutnie i po gminach. Wszędzie porządek był wzorowy, radość wielka i szczera. Nie psu-



BOHDAN PORĘBA: — Zrozumiałem w jednej chwili, że byłoby zmarnowaniem tematu ograniczenie się do realizacji telewizyjnej...

W hali zdjęciowej nr 4, największym atelier łódzkiej Wytworni Filmów Fabularnych, powstaje nowy utwór Bohdana Poręby pt. „Polonia restituta”. Scenariusz napisał znany historyk, prof. dr Włodzimierz T. Kowalski, autor tak głośnych książek jak „Wielka koalicja 1941-1945” czy wydana ostatnio „Rok 1918”. Jednakże „Polonia restituta”, realizowana z całym pietyzmem dla realiów, będzie czymś więcej niż tylko rekonstrukcją zdarzeń historycznych, w wyniku których, po latach rozbiorów i poniżenia, odrodziła się niepodległa Polska.

Wciąż zagoniony Bohdan Poręba, którego udało mi się dopaść w barze podczas przerwy w zdjęciach, tak określa swój zamysł twórczy:

— W sensie technicznym zdecydował tu przypadek, że zgadalem się z prof. Kowalskim, który przygotował projekt scenariusza dla Teatru Telewizji. Zrozumiałem w jednej chwili, że byłoby zmarnowaniem wielkiego tematu ograniczenie się do realizacji telewizyjnej, a więc zamknięcie dramatycznej akcji w pudełku studia. Bo „Polonia restituta” to nie jest temat gabinetowy.

Czym więc będzie ten film? Bohdan Poręba starannie dobiera słowa:

— Interesowała mnie w tym temacie synteza losu polskiego, bo wierzę, że wielkie zdarzenia historyczne są gotowym scenariuszem. Trzeba tylko odrzucić to, co „przybrudza” dramaturgię. Podobnie było z „Hubalem”. Nie podparłem się żadną fikcją w „Jarosławie Dąbrowskim”.

— No tak — nie wytrzymuję — ale tam mieliśmy do czynienia z indywidualnym bohaterem.

— A tu bohaterem jest naród — ożywił się Poręba, który swoją niepodległość wydarł z gardła Europy. Chciałbym bowiem zaprzeczyć bajce o dobrym dziadku Wilsonie, który ofiarował nam wolność.

Poręba przeklnął ostatni kęs jajecznicę (w czasie zdjęć często nie można znaleźć wolnej chwili nawet na taki posiłek) i rzekł już swobodniej, choć ze zwykłą dla siebie swadą:

— Potrzebna jest bowiem weryfikacja obywatelskich opinii z punktu widzenia naszych współczesnych wydarzeń. Przecież w tamtym dramatycznym okresie wszystkie, nawet zwalczające się koncepcje uzupełniały się wzajemnie, a przy sprzyjającym układzie sił stworzonych przez wojnę światową i rewolucję.

— „pozwoiliły nam „wybić się na niepodległość” — uzupełniłem, a reżyser Poręba pokłonił głową.

I tak ciągnęliśmy dalej ten ni to wywiad.

ni komentarz do tego, co ekipa realizacyjna przygotowywała w sąsiednim bloku na hali w dekoracji, która pozostała po filmie Ryszarda Filipskiego „Zamach stanu”.

— Nie wierzę w obiektywizm historii — powiedział w pewnej chwili Poręba, a kiedy spojrzalem zdziwiony, rozwinął swoją myśl: — Historia jest przecież nie tylko zbiorem faktów, ale także interpretacją. Mogę to powiedzieć, bo od roku grzebię się w źródłach. Historiografia okresu międzywojennego jest przecież pisana z innych, niż nasze, pozycji.

Z tym także się zgodziłem. Do baru zagladali dyskretnie członkowie ekipy technicznej. To nieformalne wywieranie nacisku na reżysera wniosło do naszej rozmowy pewną nerwowość, bo Poręba wiedział, że na niego czekają. A przecież szło o ustalenie rzeczy najważniejszej, o ustalenie własnego stosunku realizatora do tematu tak zdawałoby się nieosobistego.

— Szukam własnych racji — powiedział wreszcie — własnego miejsca w całym ciągu historii poprzez urodzenie się Polakiem. Ta niepodległość była wydarzeniem ogromnym, łączącym wszystkich, ale miała gorzki smak, gdyż posiadała załagę roku 1939 i już skazana była piętnem odejścia na prawo, którego symbolem był proces brzeski.

I przeprosił, że już musi odejść. Po chwili slyszalem jego oddalający się baryton na korytarzu wydziału dźwięku, gdy podniesionym głosem coś komuś tłumaczył. Dopilem kawę i otworzyłem scenopis w postaci dwu obszer-nych tomów po blisko 250 stron każdy.

kątem zbieżności z pierwowzorami. Już podczas próbnych zdjęć dokonano szerokiego przeglądu wykonawców, kierując się nie tylko ich możliwościami warsztatowymi, ale właśnie podobieństwem do mężów stanu, którzy byli oj-ami chrzestnymi powstania państwa: Wilson, Lloyd George, Clemenceau. I postacie z polskiej historii: Piłsudski (Janusz Zakrzewski), Dmowski (Józef Fryźlewicz), Marchlewski. Jeszcze nie wszystkie role są obsadzone, gdyż „Polonia restituta” jest w dziejach polskiej kinematografii przedsięwzięciem bez precedensu. Dwuseryjny film realizowany będzie między innymi w Leningradzie, Moskwie, Dreźnie, Berlinie, Poczdamie, Budapeszcie, Paryżu, Londynie, a także w czeskich Tatrach. Będzie wymagał zatrudnienia setek aktorów i bez przesady tysięcy statystów.

Już na tej sali sejmowej, zrekonstruowanej na hali zdjęciowej z pietyzmem i znajomością szczegółów, gdzie zasiadają dziesiątki aktorów (Kostiumy: Irena Włodarczyk) widać wyraźnie, ile wysiłku trzeba będzie włożyć w realizację, aby osiągnąć zamierzony rezultat. Bohdan Poręba dyrygujący ogromnym planem filmowym dwoi się i troi, perswaduje, krzyczy, powtarza sceny. Za kamerą Wacław Dybowski, któremu pomaga Wiesław Pyda. Pod perkami i szminką rozpoznaje znanych aktorów. Ratajem jest T. Zaliwski, Księża Połpiecha gra Andrzej Kozak, w Głównego wcielił się Sławomir Misiurewicz, Stanisław Jaśkiewicz odtwarza posła Dębińskiego, a nad całą salą unosi się



Mariusz Dmochowski jako marszałek Trąpczyński.

Korzystając z przerwy, charakterystyki poprawiają makijaż aktorom, idą w ruch szminki i puder. Witam się z Andrzejem Wróblem, II reżyserem filmu, dostrzegam przemierzającego halę Romana Kowalskiego, który pełni niezwykle odpowiedzialną funkcję kierownika produkcji i najwyraźniej kogoś szu-ka.

Aby mógł powstać tak ogromny film, musi nieustannie pracować ogromne zaplecze techniczne: projektanci, dekoratorzy, krawcy, elektrycy, oświetlacze, kierowcy, rekwizytorzy. Ci, anonimowi często pomocnicy reżysera, ich inwencja i rzetelność, wpłyną na ostateczny ekranowy rezultat.

Ale oto zaczyna się kolejne ujęcie.

Na mównicy Lech Biłaj grający Liebermana, który patrzy na falującą salę sejmową. Lewica wita jego wystąpienie z entuzjazmem, prawica gotowa jest zagłuszyć jego słowa. Na filmie usłyszymy te słowa z kadrą, gdyż kamera skierowana jest na ławy poselskie:

— Tak panowie, nasza niepodległość nie była aktem wielkoduszności, nie była darem traktatu wersalskiego, nie była darem Najwyższej Rady Czterech. Była koniecznością dziejową!

— Słusznie! — rozlegają się głosy posłów.

Koniec ujęcia. Gasną jupitery. Dobięga końca kolejny dzień zdjęciowy. Jeden z wielu, gdyż zdjęcia do tego filmu zakończą się dopiero w lutym przyszłego roku, po nakręceniu wielu kilometrów taśmy. Dopiero w o-parciu o te bogate materiały, przy współudziale tak wybitnych konsultantów jak redaktor Ryszard Wojna czy prof. Tadeusz Jędruszczyk, powstanie filmowa synteza polskiego losu, po-łężny fresk historyczny ze sferą prywatności, gdyż obok postaci zapisanych w dziejach Pol-ski i Europy „Polonia restituta” ma także ka-meralnych, fikcyjnych bohaterów reprezento-wanych przez rodzinę Pawlaków, rozdartą jak ówczesna Polska.

Foto: J. Głowacki

„POLONIA RESTITUTA”

KONRAD FREIDLICH

I przeczytałem scenę oznaczoną numerem 114 nazwaną „Sejm Rzeczypospolitej”, retrospektywne widzenie tej historycznej sesji z roku 1919, na której ratyfikowano wersalski traktat pokojowy oraz obrażliwy dla Polski tzw. mały traktat wersalski o mniejszościach narodowych.

„Atelier. Dzień. Zapelnione ławy poselskie. Cicho, Paderewski wchodzi na trybunę, pod trybuną stoi Marszałek Sejmu, Trąpczyński. Nad sklepieniem krzyż. Posłowie w law-kach. Czekają w napięciu na exposé Premiera. Paderewski chwilę milczy, po czym zaczyna zduszonym głosem:

— Wysoki Sejmie. Niech mi wolno będzie rozpocząć za sprawozdanie od radosnego o-krzyku: Ojczyzna nasza wolna jest narazie. Traktat pokojowy podpisany przez Niemców uznał niepodległość Polski. Główne Sprzymie-rzone i Stowarzyszone Mocarstwa stwierdziły to uroczystie...”

Potem, na hali zdjęciowej, lekko przydymio-nej dla uzyskania większej głębi obrazu, sly-szałem te same słowa wypowiedziane z przeje-ciem przez grającego rolę Paderewskiego Krzy-sztofa Chama.

Fotograficzne podobieństwo aktorów do his-torycznych postaci, zasługa ekipy charakteryza-torek pracujących pod kierownictwem Teresy Tomaszewskiej. I szeregu konsultantów, opi-niodawców, ekspertów, którzy dostarczyli ma-teriałów pozwalających dobrać aktorów pod

bas Mariusza Dmochowskiego jako Marszałka Trąpczyńskiego.

— Łączy!

Bezgroźnie obracają się szpule magnetofonu nagrywającego „pilota”. Delikatny szmer ka-mery. Rozpoczęło się kolejne ujęcie. W sceno-pisie noszą one numery 957, 958, 959 itd. itd. Cała scena składa się z kilkudziesięciu ujęć różnej długości, które dopiero na stole monta-żowym, odpowiednio podcięte i sklejone dadzą obraz tego, co naprawdę działo się na hali.

— Ujęcie 973!

— Charakterystyczny trzask „klapsa”. Zno-wu zaczyna pracować kamera. Na trybunie stoi Tomasz Zaliwski, który zabiera głos jako Maciej Rataj:

— Wysoka Izbo. W imieniu mniejszości ko-misji muszę stwierdzić, że pokój, którego cały świat oczekiwał z drżeniem i utęsknieniem, za-wiódł nasze oczekiwania.

Gasną jupitery. Koniec ujęcia. Trwa przy-gotowanie do dubla i Poręba, otarłszy spocną twarz, znajduje czas, aby mi szepnąć:

— Ogromne znaczenie ma to, że poruszam jakby tematy tabu, a w każdym razie sprawy, o których się dotąd w naszym filmie nie mó-wiło. I nie ma się czego lękać, bo trzeba po-kazać prawdę o ograniczoności, a zarazem zło-żoności procesu, który legł w podwalin tamtej niepodległości.



Już podczas próbnych zdjęć dokonano szerokiego przeglądu wykonawców kierując się nie tylko ich możliwościami warsztatowymi, ale właśnie podobieństwem do mężów stanu.

„Tak się dorasta do trumny, jak się w czasie dorodzi”.

Krzysztof Kamil Baczyński (Pokolenie)

Zostałam aresztowana 28 kwietnia 1941 roku. Gestapo zapukało do moich drzwi. Sama im otworzyłam. Zdziwili się bardzo, że jestem taka mała, ale to im nie przeszkadzało zabrać mnie do Gestapo w Aleję Szucha. Miałam wtedy szesnasty rok. Niemcy przesłuchiwali mnie kilka razy, a później zawieźli na Pawiak, na oddział kobiecy, zwany „Serbią”. Po kwarantannie zaprowadzili mnie do celi „nieletnich”.

W celi „nieletnich” siedziały wspaniałe dziewczęta. Wszystkie pracowały w tajnych organizacjach, lub były zakładniczkami, jak Kasia Pobiedzka.

Każde przesłuchanie przeżywałyśmy ogromnie. W jakim stanie powróciła nasza koleżanka z Gestapo? Modliłyśmy się o szczęśliwy jej powrót, snułyśmy różne domysły. Może pójdzie na wolność, gdy sprawa okaże się zakończona.

Pamiętam Małgosię Dembowską. Z przesłuchania powracała zawsze bardzo zbita, spuchnięta. Wtedy wracała Joasia Muszkowska, pułchniutka blondynka o niebieskich oczach i dobrych rękach. Ona pierwsza zawsze była do pomocy, pociechy, wsparcia. Ta cecha charakteru rozwinięta się w obozie Ravensbrück w sposób szczególny.

Gdy zabrano na przesłuchanie Halinkę Kamińską, nie było jej cały dzień, to straszne! Halinka była z nas najstarsza, studiowała medycynę. W jakim stanie powróci? I czy powróci? Nastąpił wieczór, wiemy już, że z Halinką coś niedobrego. Zegnaliśmy ją w duchu. Naraz brzęk klucza, oddziałowa strażniczka naszego piętra, Stasia Pawlak, otwiera drzwi i w drzwiach staje Halina, cała, zdrowa. Miała konfrontację z ojcem i naręczonym. Jechała z Pawiaka do Alei Szucha, patrząc na te dwie ukochane postaci. Widziała ich, rozmawiała z nimi.

Niestety, było to ich ostatnie spotkanie. Zostali rozstrzelani.

Nadszedł 22 września 1941 roku. Wrzask, ryk, tupot podbitych butów, pełno gestapowców na „Serbi”. Zwiastowało to coś niedobrego. Szarpnięto drzwi celi „nieletnich”. „Alles raus” — wszystkie na korytarz. Na korytarzu stały już więźniarki z innych cel. Gestapowcy przyjechali z gotowymi listami. Padają nazwiska. A ja tylko myślę: aby nie do Oświęcimia! Na „rozwalkę” już mogę pójść...

Jednak pada moje nazwisko. Stało się! Jedziemy transportem, ale gdzie, SS-mani sami nie wiedzą. Zorganizowany patrol — koleżanki, starsze panie, szycją nas do drogi w nieznanym. Dostaję walówkę na drogę, białą czapkę, rękawiczki, sweter, ciepłe buty, przeciwieństwo zima. Jedziemy... wspaniała kompania z celi „nieletnich”, cała trzynastka.

Zosia Ciołkówna, Małgorzata Dembowska, Alicja Gawlikowska, Józefa Gębska, Halina Gębska, Halina Kamińska, Lucyna Kiepus, Janina Machowska, Zofia Marcinkowska, Joanna Muszkowska, Barbara Pietrzyk, Kazimiera Pobiedzka, Zosia Konarzewska, Stanisława Charewicz.

Ktoś z koleżanek zaczyna śpiewać: „My jedziemy etapem etapem, My jedziemy z Gestapem z Gestapem w dal. A ten pociąg jak febra, jak febra, jak febra Trzęsie kieszki i zebra i zebra nam.”

Zegnaj celi! Zegnajcie koleżanki! Umawiamy się, że po wojnie musimy się koniecznie spotkać. W Alei Róż czy w Parku Ujazdowskim, już tego nie pamiętam. Naturalnie wszystkie wrócimy do kraju, do domów. To będzie marzenie następnych czterech lat...

Z Pawiaka wjechałyśmy wczesnym rankiem. Na stacji stały już wagony z więźniarkami z Lublina. Pociąg pędził w nieznaną. Aby tylko nie do Oświęcimia. Mijamy polską granicę. Wychożę na korytarz, zegnaj polską ziemię. Za dużo tych pożegnań. Niedawno pożegnałam rodzinny dom, małego brata, mamę, której smutek był nie do opisania.

Pociąg pędził. Patrzeć, to Berlin, ciemny, nie zburzony, przyciążony. Wtedy Joasia zanuciła, a my wszystkie podchwyciliśmy:

Wróćmy tam, dokąd
Każdy z nas tęskni i marzy
Wróćmy tam, wszyscy razem
I młodzi i starzy
Wróćmy tam, aby zerwać
Ojczyźnie kajdany
Wróćmy tam, gdzie nasz kraj
Gdzie nasz lud ukochany.

Czy wrócimy? Przyjechaliśmy do obozu koncentracyjnego Ravensbrück. Ten transport warszawsko-lubelski to był „Sondertransport”. Z tego transportu co trzecia została rozstrzelana, z tego transportu brali Niemcy na operacje doświadczalne. Straszne to były operacje. Dziewczęta umierały w nieudolnych cierpieniach, lub zostawały kalekami.

Oboz przerażał mnie. Straszne warunki. Tęskno i smutno za domem, za rodzicami. Listy przychodzą raz na miesiąc, a ja ich wcale nie dostaję.

Same tu sobie tworzymy rodzinę... „Ojcem” zostaje Zosia Marcinkowska, jest wysoka, szczupła, energiczna. „Matką” — Joasia Muszkowska, nieduża, okrągłutka, dobra, wyrozumiała (nr 7804). „Dzieci” — Basia Pietrzyk, 14 lat, (nr 7818) — uduany nasz synek „Marcelek”, Kasia Pobiedzka — „Córeczka”, 13 lat (nr 7578), trochę nieudana, ale z tego wyróżnia. „Ciotkami” zostają Janka Machowska (nr 7806), Zosia Ciołkówna (nr 7849), Zosia Konarzewska, daleka krewna (nr 7592). Józefa i Halina Gębskie mają numery 7540, 7539 — są to „Wujkowie z Ameryki”. One to pracują w kuchni i co tylko mogą, to „organizują” dla nas. To marchewkę, to kartofel, lub kilka okruszków cukru. Halinka Kamińska zostaje przyjaciółką rodziny i lekarzem (nr 7801). Wujkiem została też Alicja Gawlikowska, choć to do niej nie pasowało, bo dziewczyna słizna jak amarek (nr 7805). Ja bardzo lubię dzieci, więc zostaję „Niania”, „Marcelka” i Kazi — mój numer 7852, Stanisława Charewicz. Mamę również i

„Dziadka”. Jest nim mgr Halina Chorażyna, duchowy przywódca Polek w obozie, kierownik ZWZ (nr 7859). Przyjaźń rodzi cuda.

Joasia Muszkowska pierwszą otrzymywała paczki. Dzieliła się z nami każdym zabkiem ciasta, plasterkiem cebuli, lub sucharkiem. W okresie strasznego głodu mogła się na to zdobyć tylko prawdziwa „Mama”.

Pracujemy wszystkie dla dobra Trzeciej Rzeszy. To znaczy sabotujemy jak tylko się daje. Ja przesyłam piasek pod bloki, plotę z Małgosią długą, grubą workoczek ze słomy. Z takich workoczków więźniarki potem szyją buty na front wschodni. Gdy zbliża się SS-man Binder, mamy w zapasie mocny, dobry workoczek. Binder go sprawdza i ryczy: „Gut, gut fest”; gdy on odchodzi, pleciemy workoczek, które z obozu nie wyjadą — butów z nich uszyć niepodobna, bo się rozpadają.

Małgosia była po maturze, miała masę wiadomości, wybierała się na studia socjologiczne. Była subtelna, obrażała się na każde bezprawie, czerwieniała ze złości, gdy widziała jak SS-man lub SS-manka bila więźniarkę. Wysocka, szczupła, dumnie nosiła głowę. Wieczorami, po apelu przychodziłam do jej przycy, a matka Małgosi opowiadała nam książki, radziła, uczyła nas żyć w tych warunkach.

Z Małgosią żyłam się już na Pawiaku, gdy przyszła do celi „nieletnich”. Przyjelałam ją na swój siennik. Pierwsze dni po aresztowaniu są bardzo ciężkie, najgorsze noce, ciasno, duszno, trudno zasnąć. Małgosia nie mogła spać, nieraz nocą brałam jej rękę w swoje ręce i uspokajałam.

W obozie pracujemy obok siebie. Uczy mnie wierszy, powtarzam z nią lekcje, bo trzeba wie-

Podczas wieczornego apelu słychać było osiem strzałów.

Gdy pierwszy raz po wojnie pojechałam do Ravensbrück, zawiozłam bukiet konwali dla Małgosi.

Halina Golezowa napisała wiersz dla niej.

Na twe odważne czarne oczy
Padł cień i szara mgła omroczył
Prześlonił cały świat
Przy zachodzącym słońcu blasku
W lesie czerwieni się na piasku
Coś. Jakby szatuli kwiat...

Która z nas następna?

Lucia Kiepus pochodziła ze wsi lubelskiej. Zdrowa, silna dziewczyna. Praca fizyczna nie sprawiała jej trudności, znosiła trudny tryb życia i głodu lepiej od nas wszystkich. Pracowała wszędzie, a najdłużej w „Ladekommandos”. Praca tam była ciężka, ale korzystna. Kolumna ta wyładowywała żywność dla obozu i SS-manów. Lucia z narażeniem życia organizowała dla nas różne smakołyki. Pamiętam, kiedyś przywoziła pełne rękawice marmolady (też dla SS-manów). Jaka była smaczna! Rękawiczki wysysaliśmy jak smoczki. Lucia i Janka, pracując w „Ladekommandos”, stykały się z podchorążymi, którzy byli w oflagu. Kiedyś, dostając od nich małe zawiniątko. Gdy na trzeciaku paczkę odpakowaliśmy, ukazał nam się sztandar biało-czerwony. Ogarnęło nas wzruszenie i przerażenie. Co z nim zrobić? Chowaliśmy go na strychach, w siennikach. Ktoś z kolumny wyniósł go na wolność.

Lucia lubiła poezję, smutne wiersze. Wiedziała, że nie wyjdzie, miała wyrok śmierci. Jej ojciec i bracia zostali rozstrzelani w Oświęcimiu.

STANISŁAWA CHAREWICZ

(Z pamiętnika)

DZIEWCZĘTA Z CELI NIELETNICH

dzieć, że uczyłam się w obozie (nauczycielkom i uczennicom chcę poświęcić oddzielne wspomnienie). Nieraz marzymy głośno.

Naturalnie z obozu wszystkie wyjdziemy! Ukończymy studia, wyjdziemy za mąż... Do Małgosi pasuje mój starszy brat, więc żenie go z nią. Małgosia się zgadza. Do ślubu pójdzie w białej, długiej sukni. Długa, koniecznie długa welon, będzie się ciągnął po ziemi, w rękę skromny bukiet konwali.

Kasia chce iść do ślubu w sukni koloru kwiatu jabłoni, lekko różowej. Bukiet będzie z różowych goździków. Ja wyjdę za brata Małgosi, pójdę do ślubu w niebieskiej sukni, a moja wiązanka będzie z błękitnych niezapominajek...

Na wiosnę Małgosia poszła do pracy w polu za druty obozu. Przywozi trochę lebiody, mleczu, liście kapusty lub sałaty. Czasami przemyci parę kartofli, lub jabłek. Dzieli się z mną tymi skarbami. Głód jest straszny, dziewczęta robią się zielono-szare, widzę jak nieraz zataczają się z wycieńczenia. Ciało pokrywają się jakimś nienaturalnym mchem.

25 września 1942 roku, w południe, SS-manka zabiera osiem kobiet do bunkra. Już wiemy, że to na rozstrzelanie. Wyczytała mamę Małgosi, panią Henrykę i Małgosię też. Małgosia jest poza lagrem, lecz gdy powróci do obozu, na wieczorny apel, zabiorą ją także.

Chciałyśmy, aby ten dzień nie skończył się nigdy!

Widzimy Małgosię. Idzie radosna, nie kontrolowana, niesie jabłko. Widząc nas wszystkie stojące smutno, pyta: „Co się stało?” Joasia — „Mama” wyszeptuje smutną wiadomość. Prowadzimy ją do bloku. Do pokoju SS-manki zabiera ją nasz „Dziadek”, Halina Chorażyna i blickowa Elżbieta Cetkowska.

Wychodzi z pokoju zupełnie spokojna. Myje się. A potem mówi do mnie: „Zabierz te jabłko, zjedz je, one mi nie będą potrzebne”.

Biorę te czerwone jabłko, jem i płaczę. Jaki gorzki smak miały, do dziś pamiętam.

Potem, na wolności, nie mogłam patrzeć na czerwone jabłko, bez wspomnień o Małgosi.

Nie spałyśmy całą noc. Modliłyśmy się, płakałyśmy. Małgosia chciała być tej nocy przy matce. Do mnie powiedziała: „Pozegnaj moich braci i siostry”.

Na rannym apelu stałyśmy wszystkie razem. Mocno trzymałam ją za rękę. Nie płakałyśmy, nie wolno.

Zabrała ją SS-manka. Pobiegłam, aby widzieć ją jak najdłużej, zanim zamknie się za nią brama bunkra. Zamiast białej sukni miała na sobie papierowy worek. Zamiast welonu ciągnęła po ziemi łańcuch, którym skuli jej ręce. Nie miała też konwali w rękę.

Na apelu, po apelu nie raz prosiła: „Powiedz mi wiersz, jaki pamiętasz”. Ja ich pamiętałam dużo, także Słowackiego „Ojca zadumionych”. Najbardziej podobał się jego koniec:

„Nie mi więcej nie stało prócz Boga
Tam mój cmentarz, a tamtędy droga”

Mówiła, że jej mama tak będzie powtarzała, bo jej też nikt nie zostanie.

Odeszła 11 lutego 1943 roku. Byłam przy niej na przycy, gdy SS-manka wyczytała numer. Lucia kazała go sobie powtórzyć dwa razy.

Weszłam na trzeciak i płakałam jak małe dziecko. „Dziadek”, Halina Chorażyna, wdrapała się za mną i długo mnie uspokajała. Joasia Muszkowska, po powrocie odszukała matkę Luci i opowiedziała jej, jak Lucia odeszła.

Potem poszła Helena Sawicz ze Święcian. Była mi droga i bliska. Starsza ode mnie, ale polubiłyśmy się. Łączyła nas ziemia wileńska. Kiedyś mi powiedziała: „Gdy będę mnie palić, chciałabym, aby wiatr wiał na wschód, może isierka z mojego ciała doleci do naszych pól i łąk”. 29 kwietnia 1943 roku palili Helenę. Siedziałam sama pod murem. Nawet płakać nie mogłam, nie chciałam. A wicher tego dnia był duży, rzucał snopami iskier na lasy, może rzeczywiście podał isierkę do Święcian...

Nie nam nie zostało zaoszczędzone. W obozie odbywały się nie tylko egzekucje, ale i eksperymenty. Młode dziewczęta i kobiety zabierano do „rewiru” czyli szpitala. Tam przeprowadzili straszne operacje nóg. Wychodziły kalekami, lub umierały.

Nasz „Marcelek”, uduany synek — Basia Pietrzyk, była bardzo zgrabna. Rączki i nóżki miała jakby wytoczone, chodziła w Warszawie do szkoły baletowej. Cudownie się gimnastykowała, robiła szpagaty, chodziła na rękach, stawiała na głowie. Na Pawiaku w celi „nieletnich” miałyśmy gimnastykę. Tańczyła, piruety były dla niej fraszki.

Zazdrościłam jej tej sprawności.

Basę wzięli na operację. Wybrano z jednej i drugiej nogi 10 cm szpiku. Cierpiała okropnie. Oprawy trzy razy krajały jej nogi. Byłyśmy bezsilne. Nie wolno było podchodzić na „rewir”, gdzie leżały tak zwane „króliki”. Próbowaliśmy jednak pomagać. Codziennie ktoś z „Rodziny” podkłada się pod okno, aby czegoś się dowiedzieć, lub podać coś do picia lub jedzenia. Pamiętam, podkładałam się pod okno Basii. Nagle czuję, że ktoś mnie unosi w powietrze. Okropny ryk SS-manki: „Raus, raus!” — i z całej siły rzucił mnie o ziemię. Ach, jak ja uciekałam!!!

Wkrótce ktoś ofiarował nam tyżkę kaszy mąjny. Ugotowałyśmy ją w kubeczku i niesie-

my Basę. Było ciemno, więc śmiało podchodziliśmy pod jej okno. Naraz Kasia ginie mi z oczu. Pod oknem rewiru były jakieś prace ziemne i Kasia wpadła w dół razem z garnuszkiem kaszy. Wszystko się wylało. Więcej było naszych łez w kubeczku, niż tej kaszy.

Basia powróciła do kraju, odszukała małego brata. Mieszkała w Łodzi przy ulicy Narutowicza. Na swych chorych nogach nosiła wodę na drugie piętro. W dzień studiowała medycynę, a nocą robiła swetry, zarabiała na życie i utrzymywała brata.

Umarła w maju 1947 roku. Leży w Zakopanem, w najpiękniejszym zakątku Polski.

Któregoś dnia urządziłyśmy taki wieczorek „Z biegiem polskich rzek”. Zaczęło się od Wisły, Sanu, Bugu, Niemna. Były wiersze, piosenki, skecze.

Któż mógł lepiej opowiedzieć o Niemnie i zaśpiewać wileńską piosenkę, niż ja, córka tej ziemi, tym wileńskim akcentem. Po wieczorku przyszły do mnie panie: Ludwika Plater, pani Zanowa, pani Zofia Kownacka. Ile ja wtedy otrzymałam od nich pocałunków, uścisków, kawałków chleba. To był jeden jedyny wieczór w obozie, kiedy nie byłam głodna.

Kiedyś pielęgniarzka z rewiru prosił mnie, abym przyszła do szpitala. Chce mnie zobaczyć chora wileńszanka. Na przycy leży umierająca Zofia Kownacka. W rewirze smród potworny, jakiś chorych, rojące się wszy. Chora są nieprzytomna, oczy im błyszczą, pytają mnie, co tu robię? Dlaczego trzymam ręce umierającej kobiety i śpiewam. Dziś nie mogę zrozumieć, dlaczego wtedy tak pięknie śpiewałam, a nie płakałam. Potem złożyłam ręce pani Zofii Kownackiej, tak, jak się składa umierającym. Miała



Barbara Pietrzyk

Jeszcze tyle siły, aby mi szepnąć — dziękuję i uśmiechnąć się do mnie.

Na drugi dzień nie żyła.

Nareszcie nadszedł upragniony dzień. Jeszcze nie wolność, ale już Niemcy wyprowadzają nas z obozu. 28 kwietnia z rana wyszłam z obozu. Obejrzałam się za siebie. Tu, na tym małym kawałku ziemi, spędziłam cztery lata.

Joasia „Mama”, przechodziła tyfus, jest chora i słaba, jak ją doprowadzimy do Polski? Doprowadziliśmy. Ona jedna znalazła dom i rodziców. Kasia nie zastała nikogo. Zosia Ciołkówna została zabrana do Szwecji. Zosia Marcinkowska, „Ojca” oswobodzili Amerykanie, pracowała w fabryce. Do dziś mieszka w Detroit. Zosia Konarzewska zginęła bez wieści. Ja też nie zastałam nikogo. Pojechałam do Krakowa, uśladam pod Wawelem i płakałam. Przechodziła jakas pani — widząc mnie taką biedną, bezradną, zaprowadziła do Domu Dziecka przy ulicy Krupniczej 38. Tam mieszkaliśmy i powoli wracałam do zdrowia. Chodziłam do szkoły. Jeden tydzień w szkole, a dwa w szpitalu, jednak maturę zdałam.

Wszystkie dziewczęta zaczęły się uczyć, jednak nie miały siły. Basia Pietrzyk umiera pierwsza. Za Basę poszła Halinka Kamińska, była już lekarzem. Potem zabrakło Janki Machowskiej. Nigdy już nie zagra Chopina, Schumann, nie zobaczymy jej w filharmonii ani na estradzie.

Kazie Pobiedzkiej też pochowałyśmy. Z takiej nieudanej „Córki” wyrosła taka dzielna dziewczyna. Spój spokojnie, Kazi.

Joasia wyzdrowiała, jest obecnie profesorem Akademii Medycznej, Alicja Gawlikowska ukończyła medycynę. Zosia Ciołkówna jest magistrem farmacji.

Ja studiowałam w Uniwersytecie Łódzkim filologię polską, specjalność — bibliotekarstwo i do tej pory pracuję w Bibliotece im. L. Waryńskiego. W pamięci został mi hymn z celi „nieletnich”:

To słowo Polska, na sercu wyrosło mi
Ze słowem Polska, promienne jutro idą dni
Kochanych powrócisz nam, niweczysz
krzywdę i kłam

Sztandarem biało-czerwonym
Splataz ham ręce.
Ojczyzno, na wierność Ci, dajemy daninę

Sztandarem biało-czerwonym
Splataz nam ręce

ŚMIECH

W dziejach polskiego czasopiśmiennictwa satyryczno-humorystycznego sporą rolę odegrała Łódź. Już pod koniec zeszłego wieku pojawiły się w niej pierwsze publikacje poświęcone humorowi i satyrze. Początkowo były to wydawnictwa jednorazowe, jak np. książeczka humorystyczna „Nowy Rok”. W latach 1893, 1894 i 1895 wychodził w Łodzi kalendarzyk satyryczny „Łódzianka”, redagowany przez znanego w Łodzi poetę i satyryka Artura Głiszczynskiego.

Utwory satyryczne, publikowane we wspomnianych wydawnictwach, przeważnie były anonimowe, gdyż zwykle podpisywano je pseudonimami i kryptonimami. Znaczną ich część wysłał zapewne spod pióra Głiszczynskiego. Autorami pozostałych byli miejscowi literaci i dziennikarze, chociaż nie wyklucza się współpracy warszawskich satyryków. Teksty satyryczne ilustrowano bardzo lub mniej udanymi rysunkami i karykaturami. Wśród rysowników nie było jednak wyróżniających się indywidualności.

W 1901 roku wyszło w Łodzi pierwsze pismo satyryczne, zatytułowane „Humor i satyra”. Właścicielem był to tylko tygodniowy dodatek do czasopisma łódzkiego „Świat”, wydawanego i redagowanego przez księgarza Alfreda Zonera. Drukowali w nim swoje utwory satyryczne Antoni Orłowski (Krogulec) i Artur Głiszczynski (Arg). Żywił „Humor i satyra” był wszakże krótki, gdyż po rocznym istnieniu „Świat” uległ likwidacji.

Z początkiem 1906 roku wydawca „Gonca Łódzkiego”, Stanisław Książek, założył tygodnik humorystyczny „Harap Łódzki”. Pismo to redagował Józef Glikson, współpracownik „Gonca”. Okres zamieszek rewolucyjnych nie sprzyjał tego rodzaju wydawnictwom, toteż „Harap” został wkrótce zwiniony.

Dopiero jesienią 1912 roku satyra łódzka, tulająca się dotąd po róż-

W ŁODZI

nych jednodniówkach i gazetach codziennych, otrzymała swój własny organ, tygodnik humorystyczny „Śmiech”. Pismo to, wydawane na niezłym poziomie, związane było z „Nową Gazetą Łódzką” Jana Grodka. Kierownictwo literackie „Śmiechu” początkowo pełnił Jan Piotrowski, zaś od 1913 roku — Konrad Runowicki, posługujący się pseudonimem Konrad Tom. Był on aktorem i pisarzem, współtwórcą łódzkiego kabaretu artystycznego „Bi-Ba-Bo”, a w latach późniejszych jednym z filarów warszawskiego teatryku rewolucyjnego „Qui-Pro-Quo”. Ze „Śmiechem” współpracowali: Henryk Frenkiel (Lari-Fari), Eliaz From (Andrzej Nullus) i inni dziennikarze związani z „Nową Gazetą Łódzką”.

Współpracownicy pisma tworzyli satyrę pokupną, a więc taką, która by odpowiadała upodobaniom miejscowych odbiorców. Dlatego też żarty i anegdota łódzkie dotyczyły zwykle spraw bankowo-giełdowych, upadłości, zdrad małżeńskich, plotek teatralnych itp. Natomiast satyrycy „Śmiechu” skrytykować omiłowali niebezpieczne rąk kwestie polityczne i społeczne, gdyż groziły one publikystom i wydawcy nieprzejmowymi konsekwencjami ze strony cenzury.

Mocną stroną „Śmiechu” stanowił dział ilustracyjny. Każdy numer czasopisma zdobył świetne rysunki satyryczne i karykatury Wacława Nowiny-Przybylskiego, utalentowanego malarza i rzeźbiarza, twórcy pomnika księdza Kordeckiego w kościele św. Krzyża w Łodzi. Drugim znaczącym rysownikiem „Śmiechu” był Artur Szyk, późniejszy znakomity malarz-miniaturowista. Pismo zasiadało również swoimi rysunkami karykatury Henryk Szczygliński i debiutujący dopiero Stanisław Dobrzyński.

„Śmiech” tłoczony był w wysokości około 5.000 egzemplarzy, co w ówczesnych warunkach stanowiło znaczny nakład. Od czasu do czasu ukazywały się numery specjalne pisma, jak np. teatralny, karnawałowy, przemysłowy. W 1913 roku wyszedł okolicznościowy numer „Śmiechu”, poświęcony odbywającemu się wtedy w Łodzi koncertowi Ignacego Paderewskiego. W numerze tym zamieszczony został cykl świetnych rysunków i karykatur Przybylskiego, tematycznie związanych z koncertem wielkiego pianisty.

Z wybuchem pierwszej wojny światowej „Śmiech” zakończył swój niedługi żywot. W warunkach wojennych, nie było miejsca dla tego rodzaju wydawnictwa. Dopiero po odzyskaniu niepodległości nastąpiło odrodzenie czasopiśmiennictwa satyryczno-humorystycznego w Łodzi.

WACŁAW PAWLAK

6 ODGŁOSY

Kiedy pod jednym ze sklepów przy ul. Świętojańskiej w Gdyni zobaczyłem błyskawicznie formującą się kolejkę — ani przez chwilę nie podejrzewałem, że mieści się tam zielarski sklep „Herbapol”.

Mój przyjaciel Tomek, zasiedziały gdynianin, u którego bawiłem właśnie kilka dni — objaśnił krótko:

— Przyprawy przywieźli. Stajemy.

Przyprawy skończyły się gdzieś cztery osoby przed nami. Trudno. Ludzie trzęsą ponarzekali, pobładołili i zaczęli się rozchodzić. Słyszeli się tu i ówdzie, że w Łodzi tych przypraw zatrzęsienie, że tylko tam jechać i kupować...

Przezornie nie przyznałem się, że jestem z Łodzi, bo jakoś nie mogłem sobie przypomnieć, żeby tych przypraw było takie zatrzęsienie. Na odchodnym wyprosiłem jedną ulotkę reklamową, z której niezłobnie wynikało, że bez zestawu przypraw „Herbapolu” dzisiejsza gospodyni nie ma po co pokazywać się w kuchni.

„Przyprawy ziołowe — poezja stołu” — głosi hasło złożone w ulotce największą czcionką, a ponadto: „zioła uszlachetniają smak potraw, cieszą podniebienie a zarazem ułatwiają trawienie oraz (uwaga Panie!) wpływają dodatnio na cerę”.

Na ul. Wólczańskiej 4 wiekowe budynki i ciasne pomieszczenia produkcyjne. Nobilituje całość olbrzymia ciężarówka z zagraniczną rejestracją, parkująca przed wejściem. Zapachniało wielkim światłem i... ziołami.

Od razu zostaje sprowadzony na ziemię Łódzkie Zakłady Zielarskie to raczej sztyd. Pod nim kryje się kilka innych zakładów, które po reformie administracyjnej znalazły się także w innych województwach.



Oprócz miejskiego łódzkiego, sieradzkiego, piotrkowskiego czy skierniewickiego — jest także częstochowski i plocki.

Właśnie tam „Herbapol” ma swoje uprawy. Oddziały otaczają opieką wszystkich indywidualnych dostawców. Czy nie lepiej w takim razie byłoby zorganizować zielarskie gospodarstwa rolne?

Ponoć nie można, jako że wiele roślin po prostu nie daje się wtłoczyć do szklarni, nie znoszą one ingerencji człowieka. Zadną miarą nie można ich objąć regularną hodowlą.

Biedem niewybaczalnym byłoby jednak mówić o ziołach tylko przez pryzmat kuchennego stołu. Kwitnące łąki są również (a może i przede wszystkim) zwiastunem zdrowia. Ziołolecznictwo wraca do łask. Antibiotyki antybiotykami, ale coraz częściej bierzemy ziołowe preparaty przeciwko migrenie, bezsenności, reumatyzmowi, schorzeniom gardła czy herem. Na każdym opakowaniu mamy firmowy napis „Herbapolu”.

Lecznicze właściwości ziół znane były już w starożytności. Wspomina się o tym w egipskich papiirusach, a w antycznej Grecji istnieć nawet specjalistę zajmujący się tylko zbieraniem i suszeniem ziół. Mandragorę sławił Homer, chiński korzeń żeń-szeń otrzymał dodatek „korzeń życia”, a oświecony medycyną Hipokrates — wśród zaleceń przez siebie leków najczęściej wymieniał te, które pochodziły z roślin.

Najstarszym bodaj dokumentem z tej dziedziny jest zieleń chińskiego medra Pen-Kinga pochodzący z roku 2700 p.n.e. W średniowieczu wykorzystywaniem roślin do celów leczniczych zajmowali się mnisi, którzy w klasztorach zakładali nawet coś na kształt współczesnych plantacji. U schyłku XV wieku ukazał się w Rzymie pierwszy zieleń drukowany.

A w Polsce? Rozkwit ziołolecznictwa nastąpił dzięki augustianom, benedyktynom i cystersom. To właśnie oni sprowadzili do Polski wiele nowych roślin, które stosunkowo szybko rozpowszechniły się w całym kra-

ju. W roku 1534 ukazał się pierwszy drukowany w języku polskim zieleń Falimira, który nie całkiem jednak był polski, jako że tłumaczono go z łaciny. Dzieło na wskroś oryginalne ujrzało świat dopiero w roku 1613. Jego twórcą był Szymon Dyreński. Na owe czasy była to chyba największa tego typu publikacja w Europie: opisano w niej ponad 700 roślin!

„Zioła lata” dla ziół skończyły się na początku XIX wieku. Do głosu coraz częściej dochodziła wielka chemia, specyfiki chemiczne triumfowały. Dopiero po zakończeniu I wojny światowej ziołolecznictwo przeżywa swój renesans. Zwiększa się produkcja, na rynku częściej pojawiają się nowe rośliny i nowe lekarstwa pochodzenia roślinnego. Od roku 1952 wszystkimi sprawami związanymi z ziołami kieruje w Polsce Zjednoczenie Przemysłu Zielarskiego „Herbapol”.

Długo by wymieniać dziedziny, w których znajdują zastosowanie części roślin. Dlaczego części? Dlatego, że raz mogą to być łodygi czy korzenie, a innym razem nasiona, kora, kwiaty lub liście. Są one powszechnie stosowane w przemyśle kosmetycznym, cukrowniczym, spirytusowym, mleczarskim, chemicznym — wymieniać tak można w nieskończoność. Nawet ciężkie hutnictwo stosuje rośliny przy produkowaniu form do odlewów.

Zioła pomagają, zioła łagodzą, zioła potrzebne — nie zapominajmy jednak, że mogą też być szkodliwe. Zdarzają się jeszcze przypadki ciężkich zatrąć. Wypływa to z niewiedzy i zbyt dużej wiary we wszystkie zalecane (gwarantowane!) recepty domowe. Nie mając dużej wiedzy, nie rozróżniając roślin trujących od nieszkodliwych — stajemy się ofiarami własnej beznamiętności.

Nie musimy się za to obawiać żadnych kłopotów ze strony preparatów firmowanych przez „Herbapol”. Stworzone taki system kontroli laboratoryjnej, że praktycznie nie ma możliwości pomyłki czy też jakiegokolwiek błędu w procesie produkcji. Badania przeprowadzane są dosłownie w każdym momencie: podczas zbierania, segregacji, suszenia i obróbki. Pozwala to na wyeliminowanie partii chociażby tylko podejrzanych. Nie może tu być żadnych wątpliwości: w przypadku najmniejszych nawet objętości — wycofuje się z produkcji absolutnie całą dostawę.

Łódzkie Zakłady Zielarskie oprócz opieki nad oddziałami terenowymi, są także zobowiązane do troski o zaopatrzenie aptek na „swoim” terenie — oczywiście w leki ziołowe. A powiedzieć trzeba, że wydany w roku 1978 informator pt. „Leki ziołowe” zawiera blisko 500 nazw specyfików, preparatów galenowych, pojedynczych ziół i mieszanek ziołowych.

Ofensywa ziołolecznictwa? Chyba tak, z tym że może nie „ofensywa” a raczej nawrót. Coraz częściej poszukujemy adresów dobrych zielarzy, coraz częściej stosujemy zioła przy rozmaitych dolegliwościach. I wprawdzie ciągle jeszcze słyszy się głosy, że współczesna farmakologia broni się przed ziołami, ale wydaje się, że w tym miejscu zreczniej byłoby powiedzieć, że nie opiera się im tak jak dawniej...

Duża w tym zasługa samych producentów leków ziołowych, którzy olbrzymią wagę przykładają do sposobu podawania preparatu. Coraz częściej są to tabletki „fix”, które tylko moczą się we wrzasku; przybiera popularnych granulatów do jedzenia i picia.

A poza tym przekonaliśmy się wszyscy, że zioła działają na chorobę niezwykle łagodnie i wielostronnie, w przeciwieństwie do „bomb” antybiotyków, które działają wprawdzie szybko, ale które niekiedy usuwają tylko objawy choroby. Primum non nocere — przede wszystkim nie szkodzić — stara to maksyma lekarzy, która akurat do ziół pasuje jak ulał...

In minus ziołom zapisać chyba trzeba, że wymagają dużej cierpliwości w oczekiwaniu na efekt. Godzą się na to ci, którym uświadamiono sposób leczenia — poddają się bez szemrania często wielomiesięcznej kuracji. Niecierpliwi odrzucają w kat przepisane preparaty, biorą serię trzydziestu zastrzyków, lykają parę kilogramów tabletek i... zaczynają niekiedy leczyć się na coś nowego.

...

Wydawać by się mogło, że dynamiczny ostatnimi laty rozwój ziołolecznictwa spowoduje lawinowy wręcz napływ zgłoszeń od zielarzy — zielarzy deklarujących współpracę z zakładami. Nic podobnego! Zdobyć

obecnie dobrego zielarza, to chyba jeszcze większy problem niż znaleźć dobrego lekarza. Nie wiadomo dlaczego utarło się przekonanie, że zioła potrafi zbierać każdy; pokazać mu tylko co i jak wygląda (najczęściej zobaczyć tylko na obrazku) i po kłopotach. Nie może być nic bardziej złudnego.

W Łódzkich Zakładach Zielarskich powiedziano mi, że w lancusku ciągnącym się od łąki do torebki na sklepowej półce — zielarz jest wprawdzie najniżej, najdalej od finalnego produktu, ale jego wkład jest chyba najważniejszy.

Od jego solidności i znajomości rzeczy zależy przecież wszystko. Dlatego też otacza się ich szczególną opieką. Oprócz specjalnych instrukcji obejmuje się ich szkoleniami, korzystać mogą w każdej chwili z porad instruktorów, dostarcza się im nasiona przygotowane odpowiednio w zakładowych laboratoriach, wizytuje uprawy.

Uśmiechamy się wprawdzie, kiedy czytamy w starych zieleńkach, że „ten kwiat zbierać tylko ranną rosą” albo „gdzie słońce swej wędrowki dobiega”. Ale nawet i w budzącym grozę „krzaku na cmentarzu zerwanym o północy” jest trochę prawdy. W „Herbapolu” mówią, że dosłownie każdą roślinę pozostającą w kręgu ich zainteresowań należy traktować indywidualnie. A to nie można zbierać jej po deszczu, a to znów zrywać w południe, albo suszyć na słońcu.

Nieznamość rzeczy, czy niewaga, mogą spowodować konieczność wyrzucenia całego zbioru, a na to dobry zielarz nie może sobie pozwolić. I to nie tylko ze względu na straty — finansowe — honor dobrego zielarza

SŁAWOMIR DARZYCKI

ZDROWIE
PEŁNYMI
GARŚCIAMI

byłby tu nadszarpnięty. Ile zarabia zielarz? Legendy już krążą na ten temat. A w rzeczywistości nie jest tego tak dużo. Zależy jeszcze od tego, co zbiera. Intratna jest pod tym względem np. jarzębina — w tym przypadku dniówka kształtuje się w granicach 500—800 zł. Tylko, że i czasu jest ona dostępna na drzewach, i gdzie można znaleźć takie gaje jarzębinowe, które pozwoliłyby dorobić się fortunę?

Nic więc dziwnego, że liczba zielarzy maleje z roku na rok. Coraz trudniej pozyskiwać nowych, młodych, którzy godzą się z taką diubanią i z takimi korzyściami. Wolą iść do „normalnej” pracy, z limitowanymi godzinami, bez ryzyka strat. „Zielarz” ponoć wcale nie brzmi dumnie...

To z kolei powoduje, że lawinowo przybywać nam zaczęło zielarzy amatorów. Na bazarach bukietki ziół często kosztuje więcej niż najdroższe nawet lekarstwo. I chociaż w wielu wypadkach przynoszą one ulgę w chorobie (sugestia?), to często zdarza się, że do wszystkiego im blisko, tylko najdalej do prawdziwych ziół...

Zauważalny jest także szturm na sklepy zielarskie, a mamy takich w Łodzi już cztery. Rzadko kiedy udaje się nam jednak kupić to wszystko czego potrzebujemy (w tym także i przyprawy ziołowe, o których była mowa na początku). Coraz częściej słyszymy „nie ma”, „dawno nie mieliśmy” czy nawet mało budujące „nie spodziewamy się w najbliższym czasie”...

Łódzkie Zakłady Zielarskie są głównym producentem w Polsce olejków eterycznych, izolatów z tych olejków, olejków półsyntetycznych i estrów spożywczych. Polskie olejki (czyli łódzkie) cieszą się olbrzymim powodzeniem. Krajowi i zagraniczni



kontrahenci wiedzą już, że z Łodzi wychodzi produkt „czysty”, bez żadnych domieszek czy chemicznego podrobienia. Charakterystyczne jest to, że szereg z nich nie znajduje zastosowania w kraju, natomiast każda ilość (np. olejek marchwiowy) kupują „na pniu” największe i najsłynniejsze firmy kosmetyczne świata.

Sama oferta handlowa w tym przypadku ma kształt niewielkiego flakonika, który poprzez „CIECH” wysy-

łany jest do odbiorcy. I zawsze odpowiednią jest propozycja zawarcia długoterminowego kontraktu. Nie należy chyba dodawać, że sumy uzyskiwane z tego tytułu są spore.

...

Moda na zioła trwa. Wielka chemia, wspaniałe wyniki farmakologii, fantastyczna kuchnia... Nie dajmy się zwieść pozorom: na początku zawsze jest zwykła, ukwiecona łąka...



PAWEŁ PATORA

WIEDZA Z IMPORTU

Według dość rozpowszechnionych opinii, studenckie wyprawy naukowe do odległych krajów są ukrytą formą atrakcyjnej turystyki. Korzyści naukowe są ponoć nikłe, ale stanowią dobry parawan zasłaniający prawdziwe intencje uczestników eskapad do egzotycznych rejonów świata.

Przedstawione poglądy, być może słusznego w niektórych pojedynczych przypadkach, nie należy jednak uogólniać. Wyróżnia się wówczas krzywdę moralną organizatorów i uczestników prawdziwie naukowych wypraw studenckich. Do takich należała z pewnością „INDIA 78” — wyprawa studentów ostatnich lat Wydziału Budownictwa i Architektury Politechniki Łódzkiej.

Najpierw określono cele naukowo-dydaktyczne: zapoznanie się z projektami obiektów budowlanych wznoszonych przez polskich specjalistów w odwiedzanych krajach, z organizacją, warunkami i przebiegiem pracy na polskich budowach za granicą, poznanie architektury Bliskiego Wschodu i południowo-zachodniej Azji oraz metod konstrukcyjnych i technologicznych stosowanych w tamtejszym budownictwie. Wreszcie — wykorzystanie zdobytej wiedzy i spostrzeżeń w pracach magisterskich i publikacjach w „Zeszytach naukowych PL”. Mając na uwadze te cele, opracowano szczegółowy program naukowy oraz starannie przygotowano przedsięwzięcie od strony organizacyjnej. Pomocy udzieliły studentom liczne władze, instytucje i organizacje, m. in. Zarząd Główny SZSP i Polskiego Związku Inżynierów i Techników Budownictwa NOT, centrale: „Polimex-Cekop”, „Budimex”, „Instalexport”, „Polservice”, Łódzkie Zjednoczenie Budownictwa, „Chemitex” MNSzWiT, władze PL i województwa miejskiego łódzkiego.

Siódmego lipca ubiegłego roku, podarowanym przez FSC w Starachowicach „Starem” z przyczepą, dziesięcioosobowa „załoga” wyruszyła w daleką, liczącą 30 tys. km, drogę do trzynastu państw Europy i Azji: Czechosłowacji, Austrii, Węgier, Rumunii, Bułgarii, Turcji, Iranu, Afganistanu, Pakistanu, Indii, Nepalu, Iraku i Syrii. W ciągu trwającej 146 dni wyprawy studenci odwiedzili 38 polskich budowli. Interesowały ich przede wszystkim sposoby rozwiązywania trudnych problemów technicznych i organizacyjnych w odmiennych od naszych warunkach klimatycznych, terenowych, gospodarczych, obyczajowych itp. Poznali też opinie zagranicznych kontrahentów o pracy polskich specjalistów. „Miło było usłyszeć liczne wypowiedzi chwalejące Polaków za ich dużą fachowość i rzetelność na pracy, za dotrzymywanie, a nawet skracanie przewidzianych kontraktami terminów” — mówi jeden z uczestników wyprawy, a ktoś inny dodaje: „Wiedzieliśmy, że wiele budujemy za granicą, jednak skala naszych inwestycji, ich liczba i wielkość, rozmach w realizacji wyjątkowo trudnych pod względem technicznym i organizacyjnym przedsięwzięć, sprawiły na nas ogromne wrażenie. Poculiśmy głęboką dumę, że jesteśmy Polakami — obywatelami państwa imponującego innym wysokim poziomem gospodarki i techniki”.

Pierwszą ogromną budowlą, którą zwiedzili łódzcy studenci była elektrownia Prunerov w Czechosłowacji o planowanej mocy 1000 MW — największa z realizowanych obecnie polskich inwestycji u sąsiadów z Tatr. Kontrakt wartości pół mi-

liarda rubli obejmuje całość prac — od projektu, poprzez roboty budowlane, aż do kompletnego wyposażenia elektrowni w polskie urządzenia.

Na Węgrzech studenci zatrzymali się m. in. w Kabie, gdzie Polacy budują jedną z największych cukrowni na świecie, o planowanym przerobie 7 tys. ton buraków na dobę. Posadowienie fundamentów tego imponującego obiektu wymagało przemieszczenia dwóch milionów metrów sześciennych ziemi, żelbetonowe i stalowe konstrukcje budowlane będą ważyły 150 tys. ton, a zainstalowane maszyny — 11 tys. ton. Wartość samych tylko robót budowlanych wynosi 89 mln rubli. Wszystkie dostawy materiałów budowlanych, maszyn i urządzeń pochodzą z Polski. Przy wznoszeniu największych w Europie żelbetonowych silosów na eukier (średnica — 32 m, a wysokość — 41 m) padł światowy rekord tempa pracy — 11 dni!

Wiele cukrowni zbudowali Polacy w krajach azjatyckich. Np. w Iranie pracuje obecnie sześć polskich cukrowni. Studenci zwiedzili najstarszą z nich — wzniesioną w latach 1959-60 w miejscowości Fariman. Po osiemnastu latach znów powrócili tu polscy specjaliści, by wykonać prace remontowe i modernizacyjne obejmujące wzmocnienie zaplecza energetycznego, poprawienie zaopatrzenia w wodę i zwiększenie przerobu z 2,5 do 4 tys. ton buraków cukrowych na dobę. Obecnie w różnych krajach świata Polacy remontują i modernizują ok. 180 cukrowni.

Większość „fabryk cukru” w krajach azjatyckich pracuje w oparciu o trzcinę cukrową. Odwiedzona przez studencką wyprawę bardzo nowoczesna cukrownia Mosul w Iraku, zbudowana „pod klucz” przez Polaków, przerabia w ciągu doby 3 tys. ton trzciny cukrowej. Nie zawrze tak jak w Mosul polskie przedsiębiorstwa realizują całość inwestycji, wraz z obiektami pomocniczymi (takimi, jak place składowe, magazyny, oczyszczalnie ścieków itp.) i kompletnym wyposażeniem. Często „Polimex-Cekop” zawiera kontrakty kooperacyjne, w których udział Polaków ogranicza się do dostarczania i zamontowania wyposażenia oraz nadzoru nad rozruchem technologicznym. W cukrowni Pasrur w Pakistanie studenci spotkali zaledwie pięciu Polaków nadzorujących pracę miejscowych przedsiębiorstw.

Inną polską specjalnością jest eksport i montaż obiektów służących ochronie środowiska, głównie — urządzeń zabezpieczających wodę i glebę przed zanieczyszczeniem ściekami i odpadami przemysłowymi. Sprzedajemy stacje uzdatniania wody pitnej i przemysłowej, stacje mechanicznego, biologicznego i chemicznego oczyszczania ścieków i odpadów, pompownie, zbiorniki, ujęcia wodne i instalacje hydrauliczne. Np. w Iraku pracuje kilkanaście polskich ujęć, pompowni i stacji uzdatniania wody, z których dwie zabezpieczają wodę pitną dla stolicy kraju — Bagdadu. W ubiegłym roku zakończono budowę pompowni wody w Wadi-Al-Fayad w Syrii. Wyjątkowo skomplikowaną pod względem technicznym inwestycją wodną jest budowana od 1978 roku zapora wodna w okolicach Bashry, w Iraku w miejscu przyszłego kanału, który połączy Zatokę Perską z Marshami — obszarem rozlewisk i bagien. Zapora ma działać obustronnie i jednocześnie oddzielać wodę słodką od słonej. Niezależnie od siebie sześci-

metrowe wahania poziomu wody Zatoki Perskiej i rozlewisk oraz grząski grunt do głębokości 20 m. — to trudności, które odstraszyły firmy z RFN i USA od podjęcia się wykonania tej inwestycji. Dzięki zastosowaniu najnowocześniejszych rozwiązań technologicznych i konstrukcyjnych, polscy specjaliści mają już za sobą najtrudniejszy etap prac. Zakończenie tej wyjątkowo trudnej budowy przewidziano na koniec 1980 roku. Otrzymamy za nią 30 mln dolarów.

Długo można by jeszcze ciągnąć listę polskich budowli odwiedzonych przez studentów Politechniki. Bezpośredni kontakt z wykonawcami tych inwestycji oraz przyjrzenie się realizacji trudnych przedsięwzięć technicznych, dostarczyły uczestnikom wyprawy „INDIA 78” wiedzy, której nie można znaleźć w żadnym podręczniku akademickim. Gdy po ukończeniu studiów podejmą oni pracę w przemyśle, z pewnością zechcą przenieść na teren swoich zakładów dobre wzory zaobserwowane na polskich budowach za granicą. Na razie napisali kilkanaście specjalistycznych publikacji i przygotowują następne. Opracowują też prace magisterskie korzystając z obszernej dokumentacji przywiezionej z wyprawy — notatek, rysunków, filmów, przeźrocz i in.

Dla przyszłych inżynierów budownictwa i architektury szczególnie interesujące były rozwiązania projektowe i konstrukcyjne obiektów budowlanych wznoszonych w krajach południowo-zachodniej Azji. Stosuje się tam nie znane u nas techniki i materiały, co wynika z odmiennych tradycji kulturowych, sytuacji gospodarczo-społecznej i przede wszystkim — warunków klimatycznych.

Uczestnicy wyprawy przemierzali obszary położone w sześciu strefach klimatycznych. Klimat kontynentalny napotkali w centralnej Turcji, śródziemnomorski — na wybrzeżach tego kraju i w Syrii, podzwrotnikowy — m. in. w północnym Iranie, Iraku i Afganistanie, zwrotnikowy — w Indiach, Pakistanie i na południu Iranu, górski — w Nepalu, u podnóża Himalajów i oczywiście umiarkowany — w Europie. W klimatach gorących do podstawowych problemów w budownictwie należy ochrona przed nadmiernym nasłonecznieniem. W miastach często stosuje się w tym celu zwartą zabudowę; budynki, rzucając cień na obiekty sąsiednie zabezpieczają przed nadmiarem promieni słonecznych dolne kondygnacje. W oknach często spotyka się przyćmione szyby lub umieszczone na zewnątrz osłony przeciwsłoneczne różnego typu, np. w postaci nachylonych pod kątem ostrym do pionu konstrukcji przypominających drabinki. Wiele nowoczesnych budynków wznosi się z lekkich konstrukcji aluminiowych, na których umocowane są pasy osłon np. z tworzyw przezroczystych. Interującym sposobem zabezpieczenia pomieszczeń przed nasłonecznieniem jest także kształtowanie bryły budynku, by ściany zewnętrzne rzucały cień na okna. W budownictwie jednorodinnym nie trzeba uciekać się do tak skomplikowanych rozwiązań. Wystarczają duże okapy dachu, podcienie lub niewielkie osłony zewnętrzne.

Trudniejszy do rozwiązania jest problem klimatyzacji budynków. Dawniej przed nadmiarem ciepła chroniły grube mury (np. w pałacach i niektórych budynkach miej-

skich). By zapewnić wymianę powietrza w pomieszczeniach wykorzystywano też... przeciągi. Dziś w budynkach biurowych, bogatych domach mieszkalnych i innych nowoczesnych obiektach miejskich powszechnie stosowane są elektryczne urządzenia klimatyzacyjne. Jednak większość obywateli Indii czy Pakistanu — to ludzie biedni. Mieszkańcy wsi budują sobie najczęściej domki z gliny, w których przewodność zapewniają otwory okienne w ścianach, a odpowiednią wilgotność — woda parująca z obficie zraszanych roślin umieszczonych wewnątrz chatki. W miastach, żyjące w skrajnej nędzy wieloosobowe rodziny mieszkają w budach stawianych z materiałów odpadowych (np. puszek po konserwach, kawałków blachy, zużytych opon samochodowych itp.) zlepionych gliną. W Iraku na Marshach jedynym dostępnym materiałem budowlanym jest trzcina. Mieszkańcy wysepki na tych obszernych rozlewiskach posiadli godne podziwu mistrzostwo w budowie domów i mebli z trzciny, bez wykorzystania jakiegokolwiek innych materiałów konstrukcyjnych.

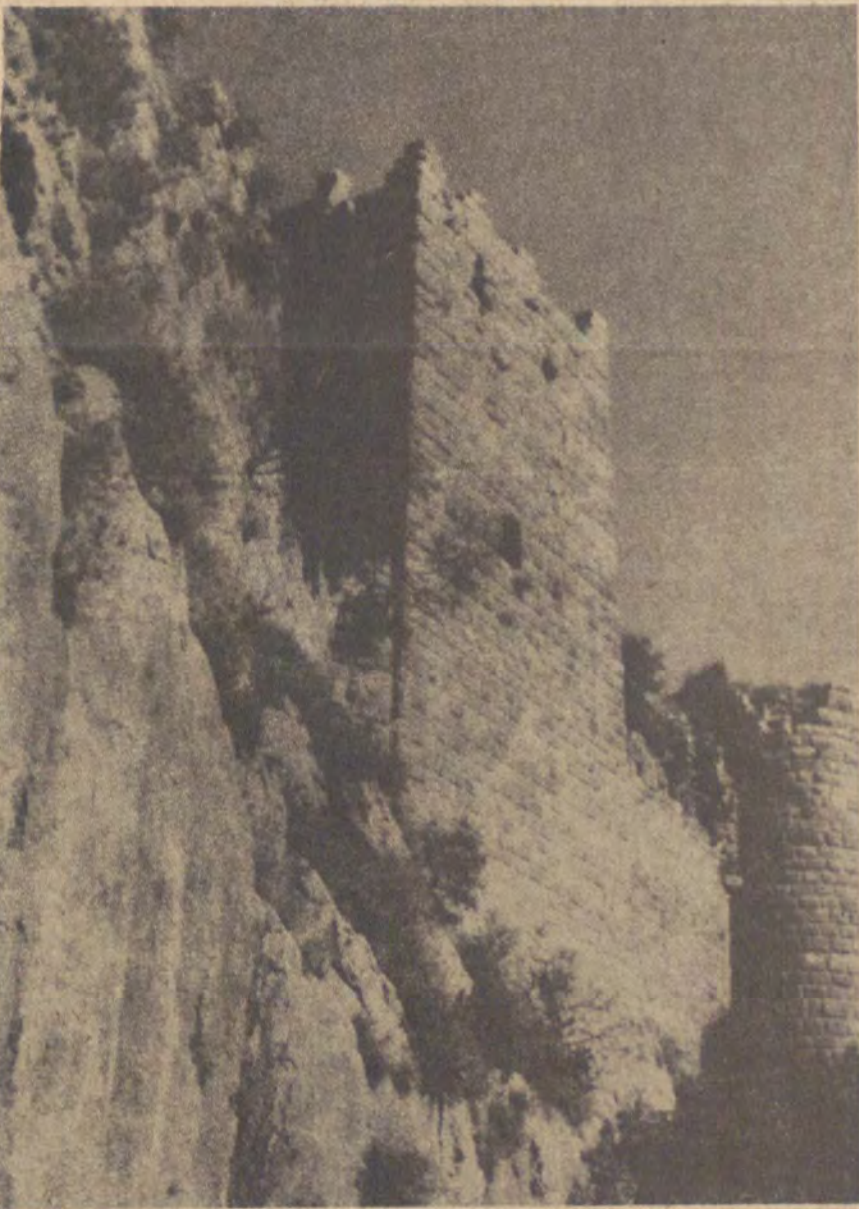
Oczywiście, nie będziemy w Polsce budować domków trzcinowych lub hinduskich lepiarek, ale wiele rozwiązań zastosowanych w nowoczesnym budownictwie — odwiedzanych krajów można, zdaniem studentów, wykorzystać, po odpowiednim przystosowaniu, w naszych warunkach. Studenckie wnioski ze zdobytych doświadczeń oraz przeprowadzonych rozmów i obserwacji są zbyt liczne i często — zbyt specjalistyczne, by je tu przytaczać.

Oprócz bezspornych korzyści naukowo-dydaktycznych, eskapada do Azji dała studentom PL także inne, nie mniej ważne pożytki. „Po powrocie jesteśmy innymi ludźmi!” — mówią uczestnicy wyprawy. Widzieli bowiem skrajną nędzę umierających z głodu Hindusów, niedzara, który chciał sprzedać własne dziecko za

jedną rupię, ludzi śpiących obok krów pod gołym niebem na wąskiej uliczce w Delhi — mieście, w którym nie brak klimatyzowanych will bogaczy. Zdumiewała ich pogoda ducha, ciepło i spokój ludzi żyjących w ekstremalnej biedzie, bliskiej śmierci głodowej, niepewnych jutra. Przypominali sobie wówczas stresy współrodaków zdenerwowanych z powodu tłoku w autobusie lub stłuczonego talerza. Zaskakiwały ich kontrasty; np. w Iraku, w szkole zbudowanej z trzciny, dzieci ubogich chłopów, ubrane w śnieżnobiałe bluzeczki i piękne fartuszki, recytowały angielskie wiersze. Poznali piękno Himalajów i Gangesu, byli odcięci od świata przez powódź, jechali zatłoczonym autobusem wspólnie z kozami i świniami, widzieli ceremonie składania w ofierze kozy zarzynanej na ulicznym ołtarzu... Podróż dostarczała niezapomnianych wrażeń i przeżyć, ale i zmusiła do głębokich przemyśleń, zmiany stosunku do świata i ludzi. Była też doskonałą szkołą współżycia w kolektywie.

Wpisy do księgi pamiątkowej świadczą o tym, że łódzcy studenci godnie reprezentowali swój kraj, miasto i uczelnię. Chętnie przyjmowano ich w polskich ambasadach i miejscowych urzędach. Byli bowiem dobrze zorganizowaną grupą, ujmującą swą postawą i nawet wyglądem zewnętrznym (eleganckie jednokolorowe stroje z naszymi godłem państwowym).

Pozostało mi przedstawić Czytelnikom uczestników wyprawy „INDIA 78”: opiekuna naukowego — doc. dr inż. Mariana Łukowiaka, lekarza — Ryszarda Maculewicza, studentów PL — Barbarę Szyde, Pawła Filipowskiego, Sławomira Jacewskiego (kierownika wyprawy), Janusza Paducha, Adama Pliha, Jacka Szelałę i Romana Wieszcza oraz studenta Wydziału Operatorskiego PWSFTviT — Waldemara Czechowskiego.



Syria. Jedna z twierdz Salady (XII w. n.e.)

Foto: J. Katarasiński

Jednym z zadań felietonu, ukazującego się od lat na tym miejscu, jest informowanie czytelników o co ciekawszych polonikach, jakie udaje się nam wytropić w zagranicznym naukowym piśmiennictwie. Pisał mi więc tu zarówno w polonikach niemieckich, jak francuskich, amerykańskich czy czesko-słowackich. Zdecydowany wszakże prym pod interesującym nas względem wiodą publikacje radzieckie. Tym razem będzie mowa o polonikum poniekąd nietypowym, które wprawdzie ukazało się drukiem w Związku Radzieckim, wyszło wszakże spod pióra polskiego autora, w dodatku... pracującego w naszym mieście, w Łodzi. Ale najpierw garść wstępnych informacji.

Z okazji jubileuszu swego 160-lecia Uniwersytet Leningradzki zorganizował najpierw sesję naukową, następnie zaś wydał drukiem, pod redakcją

N. G. Skodkiewicza i G. A. Tiszkina, zbiór prac zatytułowany (oczywiście w brzmieniu rosyjskim): „Uniwersytet Petersburski i ruch rewolucyjny w Rosji” (Lenin-

LENINGRADZKIE
POLONICUM

grad 1979). Zbiór ten — jak o tym pisze komitet redakcyjny w krótkim słowie do czytelnika, otwierającym ten tom — w piśmiennictwie, poświęconym dziejom tej uczelni, podejmuje po raz pierwszy ważne zagadnienie roli Uniwersytetu w rosyjskim ruchu rewolucyjnym „na wszystkich etapach ruchu wywoleńczego, od szlacheckie-

go do proletariackiego włączenia”.

Wydawnictwo otwiera obszerne studium N.G. Stodkiewicza poświęcone kontaktom W.I. Lenina z Uniwersytetem. Twórcą

radzieckiej partii i państwa był w bliskich stosunkach z tą uczelnią, na której studiował jego starszy brat Aleksander Uljanow; zdawał w niej w 1891 r. państwowy egzamin, niejednokrotnie występował tu na mityngach w latach 1906—1907...

Omawiany tom dzieli się wyraźnie na dwie części. Pierw-

szą z nich obejmuje prace dzieł autorów, poświęcone różnym problemom ruchów rewolucyjnych i postępowych w Uniwersytecie, poczynając od czasów leninowskich i sięgając wstecz do okresu dekabrystów. Druga część, na którą złożyły się prace ośmiu autorów, została poświęcona prezentacji sylwetek wybitnych rosyjskich działaczy rewolucyjnych, wychowanków uczelni.

Niemal dokładnie w środku omawianego wydawnictwa, po rozprawie Ju. Margolisa o poetyce T. Szewczenki w Uniwersytecie, a przed pracą E. Kosaczewskiej, poświęconą stosunkom dekabrystów z tą uczelnią, znajduje się zapowiedziane przez nas na wstępie polonikum. Jest nim artykuł Witolda Słowińskiego p.t.: „Polscy studenci w Uniwersytecie Petersburskim w 30-40 latach XIX w. „Osobiste stosunki z autorem tej pracy nie pozwa-

lają mi jej zbytnio przechwalać, trudno jednak nie rzec, że jest ona bardzo wartościowa i interesująca. Łódzki autor poddał tu krytyce zdawałoby się uzasadnione zdanie, powtarzane przez badaczy dzieł Uniwersytetu, jakoby w latach trzydziestych i czterdziestych nie było w tej uczelni jakiegokolwiek ruchu studenckiego o zabarwieniu postępowym czy rewolucyjnym. Twierdzenie to przy bliższym wejrzeniu w dzieje środowiska studenckiego uczelni, okazało się niesłuszne, a wydobyte przez autora źródła pozwoliły na stwierdzenie, że w omawianym czasie działała w petersburskim uniwersytecie wcale liczna grupa opozycyjnej młodzieży. Stworzyła ją Polacy, przysłani tu przez władze na studia w nadziei, że pobyt w stolicy imperium uczyni z nich lojalnych poddanych cara i gorliwych wykonawców poleceń zwierzchności. Nadzieje

te okazały się ponne. Polscy studenci Uniwersytetu rychło poczęli się organizować, chłonili różnorodną literaturę o wymowie rewolucyjnej, docierali do polskich publikacji emigracyjnych, surowo zakazanych przez władze, dyskutowali o najdrażliwszych sprawach, przystąpili do publikowania różnych periodyków, z których zdecydowana większość — wobec zakazu władz — nie mogła się ukazać w druku. Okazało się więc, że w najciężniejszych latach ery nikolajewskiej, w dobre kiedy — zdawałoby się — w rosyjskich uczelniach triumfowała reakcja, rozwijał się podziemny ruch, w którym formowali swe światopogląd młodzi ludzie, którzy w niedalekiej już przyszłości stają się aktywnymi uczestnikami polskiego i rosyjskiego ruchu rewolucyjnego.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Z PRASY

Rząd Cartera próbuje uzupełnić stratę dwóch amerykańskich stacji wywiadu radiowego w Północnym Iranie przy pomocy zmodyfikowanego wariantu samolotu wywiadowczego U-2, żeby obserwować próby rakietowe w Związku Radzieckim. Ulepszonego samolotu U-2 o pułapie wysokości ponad 27 km. będzie latać nad rejonami przylegającymi do południowo-zachodnich granic Związku Radzieckiego, ale nie będzie wykorzystywany do lotów nad terytorium radzieckim. Osobistości oficjalne odmówiły odpowiedzi na pytanie, gdzie te samoloty będą bazować i nad jakimi krajami będą latać. Wiadomo jednak, iż samoloty U-2 wykonywały loty wywiadowcze na Bliskim Wschodzie, startując z angielskiej bazy lotniczej w Akrotiri na Cyprze. W 1960 roku incydent z amerykańskim samolotem U-2 (który pilotował F. G. Powers), zestrzelonym nad radzieckim terytorium spowodował poważny kryzys międzynarodowy.

Samolot U-2, który po raz pierwszy wystartował w 1956 roku, jest uważany za wyjątkowo użyteczny do prowadzenia wywiadu elektronicznego. Dzięki długim skrzydom może wiele godzin latać na dużych wysokościach. W latach 60-tych Stany Zjednoczone zaczęły używać zamiast samolotu U-2, samolot SR-71, który lata o wiele szybciej. Jednakże U-2 nadal używa się do lotów wywiadowczych nad krajami zaprzyjaźnionymi, czy też pozbawionymi obrony powietrznej. W ubiegłym roku Pentagon zakupił dodatkowo 25 samolotów U-2 (o nowej nazwie — TR-1); będą one stacjonowały w Zachodniej Europie, skąd mają służyć radzieckiej działalności wojskowej na Wschodzie. W odróżnieniu od pierwszych modeli wyposażonych przede wszystkim w aparaturę fotograficzną, nowe modele, jak wskazują osobistości oficjalne, zostały zaopatrzone w najnowszą aparaturę elektroniczną do wykrywania sygnałów radiowych.

(„New York Times” — Nowy Jork)

Amerykańskie samoloty wywiadowcze U-2 oraz SR-71, zwane „Black Widow” („Czarna Wdowa”) działają z brytyjskich baz, wypełniając lukę w amerykańskich obiektach wywiadowczych straconych w Iranie. Ministerstwo obrony Wielkiej Brytanii poinformowało, iż „samoloty U-2 od czasu do czasu przylatują do Anglii, a poza tym działają z baz brytyjskich sił powietrznych w Akrotiri na Cyprze, w ramach porozumienia o połączonym sił na Bliskim Wschodzie”. Ministerstwo zaprzeczyło, iżby niektóre z tych samolotów pilotowali brytyjscy lotnicy wojskowi, jednakże dobrze poinformowane osobistości twierdzą, że jest to fakt. W maju 1975 roku, min. obrony Wielkiej Brytanii potwierdziło, że pięć samolotów U-2 bazuje w pewnej miejscowości w hrabstwie Essex.

(„Observer” — Londyn)

Aktywizacja działalności angielskich baz wojskowych na Cyprze i sam fakt ich przedłużającej się obecności wzbudza coraz większe zaniepokojenie społeczeństwa wyspy. Nowy powód do niepokoju wywołała informacja o rozmieszczeniu w bazach brytyjskich amerykańskich urządzeń podsłuchowych, ewakuowanych z Iranu. Wywiadowczych lotów z bazy Akrotiri dokonuje się bez powiadomiania służby kontroli powietrznej Cypru. Naród wyspiarskiej republiki nie życzę sobie gości z zagranicznych baz wojskowych na swoim terytorium i zdecydowanie żąda ich likwidacji.

(„Ikones” — Nikozja)

O W roku bieżącym kinematografia radziecka obchodzi swe 60-lecie. Dziś przemysł ten, oparty na olbrzymiej, nowoczesnej bazie technicznej, z roku na rok wzbogaca się o nowe kadry twórcze, scenarzystów i reżyserów. Kształci je przede wszystkim Wszechzwiązkowy Instytut Kinematografii (WGIK) w Moskwie, który co roku opuszcza 15 młodych reżyserów oraz wyższe kursy reżyserskie dla absolwentów uczelni, pragnących poświęcić się pracy w filmie.

Absolwenci WGIK, wyżej wspomnianych kursów oraz innych uczelni mają szansę dostania się na praktykę do działającego przy wytwórni „Mosfilm” zespołu „Debiut”. Na czym polega wyjątkowość „Debiutu” wyjaśnia jego dyrektor A. Mamikow:

— Powstał półtora roku temu nasz zespół korzysta z specjalnych uprawnień. Otrzymujemy roczną dotację państwową w kwocie 40 milionów rubli na produkcję filmowych prac dyplomowych absolwentów wyższych uczelni. Przy tak mocnej bazie finansowej możemy pozwolić debiutantom tworzyć nie licząc się z kosztami produkcji. Filmy przez nich nakręcone niekoniecznie muszą wchodzić do szerokiej eksploatacji. Poza tym zespół nie tylko w pełni finansuje koszty produkcji filmów młodych twórców, lecz także wypłaca im miesięczne pobory. Są to więc dla nich warunki idealne, co więcej — jeśli pierwszy film debiutanta jest nieudany, nie znaczy to, że musi on opuścić zespół — ma również dalsze szanse. Przy generalnym założeniu, że „Debiut” nie jest przedsiębiorstwem dochodowym, zakładam również, że w końcowym efekcie dostarczymy kinematografii twórców solidnie przygotowanych i doświadczonych. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że w ciągu roku wyprodukowano w „Debiucie” 17 filmów fabularnych, z których większość przeznaczona została do szerokiego rozpowszechnienia. Chciałbym

jeszcze podkreślić, że w zespole „Debiut” młodym twórcom pozostawia się absolutną swobodę działania. Nie ma tu mowy o „prowadzeniu za ręką”, dyktowaniu czy też bel-ferskiej opiece. Debiutanci-reżyserzy traktowani są jak samodzielni, dojrzały twórcy. Ocena podlega jedynie końcowy efekt jego pracy — gotowy film.

W skład rady artystycznej zespołu wchodzi: tacy twórcy, jak Wasilij Ordynski, Jurij Ozierow, Grigorij Czuchraj, Igor Talankin i Andriej Michajłow — Konczalowski. Wszyscy zgodni są co do tego, że byłoby rzeczą żądną dla początkującego reżysera, gdyby — nawet w najlepszych intencjach — ingerować w jego poczynania. Podstawowa bowiem zasada zespołu „Debiut” jest odkrywanie indywidualnych możliwości młodych, dając im pełną szansę sprawdzenia się. Chcemy po prostu wiedzieć, na kogo z nich może liczyć kinematografia radziecka.

O Radio radzieckie nadało ostatnio koncert złożony z arki dwóch niesłusznie zapomnianych kompozytorów włoskich Franco Alfano i Eduardo Granelli, którym największą sławę przyniosły w swoim czasie opery, oparte na powieściach Lwa Tolstoja. Postulując wprowadzenie na radzieckie sceny operowe ich dzieł, „Sowietskaja Kultura” przypomina sylwetki obu twórców muzycznych. Zmarły przed 25 laty Franco Alfano, ulubiony uczeń Pucciniego, zdobył znaczący rozgłos operą „Resurrezione” („Zmartwychwstanie”). Jej premiera w Turynie w 1906 r. skończyła się katastrofą, skutkiem czego Alfano, zadowolony z całych Włoch. W rok później „Zmartwychwstanie” — napisane w duchu modnego wówczas weryzmu — zostało wystawione w mediolańskiej „La Scali” w interpretacji najsłynniejszych śpiewaków. Warto przypomnieć, że to właśnie Alfano — po śmierci Pucciniego — dokończył partyturę „Turandot”.

Podjęta niedawno na konferencji ministerialnej państw produkujących ropę naftową OPEC w Genewie decyzja o podniesieniu ceny tego surowca o 9 procent, czyli ustalenie jej na poziomie 14,54 dolara za baryłek (159 litrów), ponownie stawia w centrum uwagi opinię światowej nabrzmiewającej od lat problem kryzysu energetycznego. Czy jego niebezpieczeństwo jest nieuniknione? Jak dalece może on zakłócić funkcjonowanie ekonomiki różnych krajów świata?

Trudno jest wprost odpowiedzieć na te pytania, opinie są bowiem podzielone. Panuje przekonanie, że mimo permanentnego wzrostu cen ropy i związanych z tym perturbacji ekonomicznych w krajach importujących ją (zwłaszcza w USA, Japonii i wysoko rozwiniętych państwach Europy Zachodniej), to jednak trudno jeszcze mówić o sytuacji kryzysowej. Z drugiej strony nie brak również prognoz dość pesymistycznie oceniających przyszłościowe perspektywy zaspokojenia światowego zapotrzebowania na surowce energetyczne, w tym szczególnie na ropę naftową. Opublikowany we wrześniu ub. roku na użytek Klubu Rzymskiego raport Thierry de Montbrial: „L'Énergie, le compte à rebours” po-

nych stron — państw produkujących ropę i krajów konsumujących ropę, jak również towarzyszów naftowych — w dziedzinie tak przecież kluczowej i żywotnej, jaką jest energia.

Alle problem rozporządzania zasobami ropy, tak aktualnie dostępnymi, jak i potencjalnymi, inaczej przedstawia się z punktu widzenia interesów państw importatorów ropy, a inaczej z punktu widzenia państw producentów. Kraje wysoko rozwinięte, których liczne potrzeby paliwowe i energetyczne wciąż wzrastają i to w bardzo szybkim tempie, coraz poważniej obawiają się, że na początku lat 80 staną w obliczu krytycznej sytuacji spowodowanej nasilającym się kryzysem energetycznym. Istotą tej powagi upatrują przy tym nie tyle we wciąż rosnącej cenie ropy, ile w stale zwiększającej się podaży na nią, czyli — inaczej mówiąc — w sukcesywnie malejących szansach na zaspokojenie niezbędnych potrzeb naftowych. Według raportu opublikowanego w sierpniu ub. roku przez Międzynarodową Agencję d/s Energii, światowy deficyt ropy w 1985 roku będzie się wahał w granicach od 4 do 12 milionów baryłek ropy dziennie. Czy w związku z tym

niezależnie od zaobserwowanego wśród państw OPEC (Algieria, Libia, Kuwejt czy Zjednoczone Emiraty Arabskie), co się tyczy Arabii Saudyjskiej, która często przedstawiana była jako deus ex machina, zdolna rozwiązać problem kryzysu energetycznego świata, pojawiły się ostatnio kontrowersje w kwestii faktycznego potencjału jej zasobów oraz rzeczywistej zdolności produkcyjnej. Powstaje zatem problem czy i ewentualnie w jaki sposób można zaspokoić rosnące zapotrzebowanie na energię oraz jak zrównoważyć powstałe niedobory. Mimo bowiem niezwykle optymistycznych perspektyw wykorzystania innych źródeł energii dla pokrycia wzrastającego deficytu, nie nie wskazuje, aby sytuacja w tym względzie miała ulec istotnej poprawie i przyczynić się do zasadniczego rozwiązania istniejących i przyszłych trudności. A zatem jakie wnioski wypływają z powyższych rozważań?

Wydaje się, iż można wyciągnąć trzy konkretne wnioski: ukazuje pewne prawidłowości dalszego rozwoju sytuacji w dziedzinie polityki energetycznej.

Pierwszym i zarazem najważniejszym wnioskiem jest fakt, iż problem zapotrzebo-

wnąć przyszłościowe dylematy zaostrzającego się kryzysu energetycznego — ostateczna stacja się bowiem eksploatacja substytutów ropy.

Innym, równie ważnym czynnikiem hamującym postęp świata Zachodniego na drodze do bardziej wydajnego wykorzystania tego źródła energii, jest czas, a ściślej mówiąc — zwłoka we wprowadzaniu koniecznych zmian w dziedzinie oszczędności energii przez wyzyskanie w większym stopniu mniej energochłonnych urządzeń. Gdyby wspomniane zmiany przeprowadzone zostały dostatecznie szybko, byłoby stosunkowo łatwe i nieuciążliwe w skutkach. A są przecież konieczne, bowiem związany z nimi wzrost wydajności można osiągnąć tylko wówczas, gdy odnowiony zostanie kapitał trwały. Wreszcie nie bez znaczenia dla sprawy bardziej racjonalnego i oszczędnego wykorzystania posiadanego i importowanego potencjału energetycznego przez poszczególne kraje, jest państwowa polityka w zakresie opracowania systemu norm i przepisów regulujących postępowanie w zakresie ekonomiki gospodarowania zasobami paliw i energii.

Reasumując, jeżeli zastosowana zostanie odpowied-



Foto: Archiwum

daje m. in., że globalny popyt na ropę osiągnie do roku 2000 wielkość 315 miliardów ton, podczas gdy znane obecnie rezerwy ropy nie przekraczają 90 miliardów ton, a ostateczne zasoby (znane i przewidywane) kształtować się mogą przypuszczalnie na poziomie niespełnia 300 miliardów ton. Czyżby zatem z końcem stulecia świat miał rzeczywiście stanąć w obliczu ostrego kryzysu wywołanego wyczerpaniem się jednego z podstawowych źródeł energii?

Zanim to jednak nastąpi, jest prawie pewne, że już na początku lat 80. krajom świata grożą poważne trudności na rynku naftowym. Toteż dostosowanie się do zmienionych warunków, czy to poprzez rozwój nowych źródeł energii, czy rozszerzenie eksploatacji źródeł dotychczasowych czy wreszcie poprzez opracowanie bardziej skutecznego systemu wykorzystania energii lub zmodyfikowanie struktury spożycia towarów i usług, wymagać będzie bez wątpienia wieloletnich wysiłków.

Wszystko wskazuje zatem na to, że żyjemy obecnie w krytycznym okresie przechodzenia od ery ropy naftowej, importowanej za stosunkowo jeszcze niewysoką cenę, do ery energii coraz droższej i coraz trudniejszej do wyprodukowania. Zasadniczy problem, który wyłania się w związku z uświadomieniem sobie przez świat tego faktu — to wybór drogi, jaką należy pójść, by uniknąć kryzysów i konfliktów oraz by zabezpieczyć, w optymalnie najlepszych warunkach, różnorakie potrzeby zainteresowa-

zwiększone zapotrzebowanie na ten surowiec uda się pokryć zasobami z nowo odkrytych złóż na Morzu Północnym, North Slope na Alasce czy w Meksyku? Oceniając stan na dzień dzisiejszy, nie wydaje się to jeszcze w pełni możliwe, tym bardziej iż także perspektywy wykorzystania na szerszą skalę innych źródeł energii, a zwłaszcza energii nuklearnej (rozwoj której jest poważnie opóźniony) nie napawają w tym względzie optymizmem.

Powstaje z kolei pytanie, w jakim stopniu na obecną sytuację w dziedzinie energii wywiera wpływ polityka państw eksportujących ropę naftową. Otóż wywiera i to istotny. Od szeregu lat można bowiem zaobserwować generalną tendencję zmierzającą do ograniczenia wydobycia ropy, co motywowane jest dążeniem do racjonalniejszego gospodarowania posiadanymi zasobami naftowymi. Jeszcze w 1971 r. Iran ogłosił, że jego produkcja naftowa zostanie ograniczona do poziomu 8 milionów baryłek ropy dziennie, w następnych latach postanowiono zredukować ją do 7 milionów, a obecne władze tego kraju zdecydowały, że nie powinna przekraczać 6 milionów baryłek. W 1970 roku amerykański Departament Stanu ocenił, że Indonezja będzie mogła wyprodukować w 1980 roku 5 milionów baryłek ropy dziennie, tymczasem aktualnie rytm produkcji utrzymuje się na poziomie 1,7 miliona. Podobne stanowisko w kwestii podejmowania środków ograniczających produkcję naftową można rów-

wania świata na energię jest w rzeczywistości jedynie problemem ceny. Potencjalne rezerwy surowców paliwowych istnieją i to w ilościach ogromnych (na przykład rezerwy światowe ropy bitumicznych wynoszą 442 miliardy ton), ale dopóty będą nie wykorzystane, dopóki ich cena będzie wyższa od aktualnej ceny ropy. Po drugie, uwzględniając ograniczenia natury ekonomicznej i technologicznej, przemawiające przeciwko substytucji jednego źródła energii innym oraz biorąc pod uwagę rozmiary przypuszczalnych rezerw naftowych możliwych do ponownej przeróbki, można stwierdzić, że głównym źródłem energii, które może zastąpić ropę będzie... ropa. Zarówno bowiem eksploatacja na wielką skalę energii słonecznej, jak i energii nuklearnej, bądź geotermalnej, wydaje się jeszcze sprawą zbyt odległą, aby upatrywać w tych źródłach rozwiązania problemu. Po trzecie wreszcie, pamiętając o szczególnej roli ropy wśród innych źródeł energetycznych, często zapomina się, że nie jest ona jedynie źródłem energii, ale także surowcem, z którego produkuje się cały szereg przetworów petrochemicznych. Toteż całkowite zastąpienie ropy naftowej przez inne rodzaje energii nie wchodzi w rachubę, wykorzystanie jej może natomiast zostać ograniczone do pewnych sektorów gospodarki na korzyść substytucyjnych źródeł energii w pozostałych (elektrownie, ciepłownictwo, itp.).

A zatem jedno jest niewątpliwe — czasy taniej ropy minęły bezpowrotnie. Jej cena będzie coraz wyższa i choć brzmie to nieco paradoksalnie, tylko dzięki tej zwykłej tendencji można będzie rozstrzy-

nia technologia, a jednocześnie podejmowane będą rozsądne decyzje ekonomiczne (minimalizujące koszty globalne) przyszyły wzrost zapotrzebowania na energię będzie znacznie wolniejszy niż by to wynikało z aktualnych prognoz i planów. Nawet słaby wzrost realnych cen energii stwarza duże możliwości zmniejszania kosztów w drodze zwiększania efektywności wykorzystywania energii. Kryzys paliwowo-energetyczny, który z racji swego charakteru jest kryzysem międzynarodowym, wymaga bowiem od wszystkich państw nim dotkniętych podjęcia wszelkich możliwych środków na rzecz znalezienia rozwiązania w skali międzynarodowej, rozwiązania opartego na porozumieniu i współpracy między wszystkimi krajami dysponującymi aktualnymi lub potencjalnymi źródłami energii, bądź kapitałami i technologią niezbędną do eksploatacji tych źródeł. Wiele zależy zatem od polityki poszczególnych państw, zwłaszcza w zakresie inwestycji, od przyrostu ludności, kosztów siły roboczej, preferencji odbiorców i rozwoju ekonomicznego, przy czym można już dziś stwierdzić, iż to z całą pewnością, że wiele spośród głównych czynników, które w przeszłości były siłą motoryczną wysokiego wzrostu zapotrzebowania na energię — obecnie już nie występuje. Poza tym najbliższych 15 lub 20 lat pozwoli światu lepiej poznać rzeczywiste potrzeby w dziedzinie energii, by optymalnie wykorzystać posiadane zasoby oraz by właściwie ocenić perspektywy i możliwości energii słonecznej i nuklearnej.

Jest jeszcze dość ropy, jak również gazu i węgla, by czas refleksji nie został stracony.

CZY KRYZYS ENERGETYCZNY?

ANDRZEJ BLAJER

NAJEMNICY W BIAŁYCH KOŁNIERZYKACH

"Cywilny landsknecht" — najemnik nowego typu sprzedający swoje wojskowo-techniczne umiejętności. — pojawił się w początkach lat 70-tych, ściślej mówiąc w 1972 roku, kiedy ówczesny prezydent USA, Nixon, podjął decyzję o sprzedaży byłemu szachowi Iranu zaopatrzenia wojskowego wszelkich możliwych typów oraz udostępnieniu nieograniczonej liczby specjalistów-instruktorskich. Ogromna większość tych specjalistów opuściła już Iran.

Jest to największy i najdramatyczniejszy exodus Amerykanów od czasów ewakuacji Sążgonu — tak określił dziennik "Washington Post" decyzję Departamentu Stanu o ewakuacji obywateli amerykańskich z Iranu, bardziej podobny do ucieczki. Znaczną część spieszących opuszczających ten kraj specjalistów stanowili właśnie "najemnicy w białych kołnierzykach", owo "cywilni landsknecht", których działalność przyciąga w ostatnich czasach uwagę światowej opinii publicznej i prasy różnej orientacji. Od 1972 roku były cesarski Iran zakupił broń amerykańską za sumę około 8,5 miliarda dolarów. W tym, jak wiadomo, najbardziej nowoczesne samoloty, okręty, różne systemy elektronicznego wykrywania. W 1978 roku w Iranie było już 26 tysięcy najemników-specjalistów, a w 1980 roku miało ich tam być już ponad 50 tysięcy. Strumień najnowocześniejszej broni amerykańskiej, skierowany początkowo do Iranu, zatopił później inne kraje, które uprzednio musiały się zadowalać przestarzałą techniką dostarczaną im w ramach programów pomocy wojskowej USA.

W 1975 roku, do rozwijających się krajów Ameryki Łacińskiej i Afryki (z wyjątkiem krajów wydobywających ropę naftową) dostarczono 3,560 czołgów i transporterów opancerzonych, 63 wielkie okręty, 22 łodzie podwodne 593 ponaddwukilowe samoloty bojowe, 10,035 rakiet przeróżnych typów. Jednakże głównymi nabywcami, na których w 1978 roku przypadła ponad połowa amerykańskiego eksportu broni, były państwa Bliskiego i Środkowego Wschodu: Arabia Saudyjska, Iran, Izrael, Egipt. Nie pozostały

na uboczu i mniejsze kraje tej strefy. Kuwejkt, na przykład, w ciągu trzech lat kupił 42 myśliwców bombardujące, 1,800 rakiet przeciwlotniczych, kilka śmigłowców i inną broń. Wiadomo, iż nawet dla doskonale wyszkolonych armii nabywanie umiejętności obcoziemców jest tak kolosalną ilością nowoczesnej broni stwarzałyby duże problemy, a już dla większości krajów Trzeciego Świata, pozbawionych wykwalifikowanych kadr instruktorskich, problemy te byłyby po prostu nie do rozwiązania bez pomocy z zewnątrz.

Były czasy, kiedy taką pomoc okazywał przede wszystkim personel wojskowy, akredytowany przy misjach wojskowych i grupach doradców za granicą. Teraz funkcję tę wykonują przede wszystkim cywilni specjaliści zatrudnieni na kontrakt. Są to z reguły pracownicy firm, które produkują broń. Nieraz sprzedają broń, dokonując się pod warunkiem, że jej obsługą zająć się amerykańskie kompanie. I tak, obywateli firmy "Northrop" w jej programie wojskowym wartości 2,8 miliarda dolarów w Arabii Saudyjskiej, obejmują dostawę 110 myśliwców F5E i F5F, wybudowanie infrastruktury, szkolenie saudyjskich pilotów i mechaników lotniczych, organizację służby zaopatrzenia i transportu, jak również prace w zakresie obsługi i remontowania dostarczonej techniki na miejscu. Żeby zadowalać rozwijającą się zadania firma skierowała w czerwcu 1978 roku do baz saudyjskich 1,134 Amerykanów. Z ramienia firmy "Grumman" w Iranie pracowało do niedawna około 1,000 amerykańskich techników, którzy zabezpieczali obsługę 80 samolotów F14, sprzedanych szachowi w 1974 roku. Eksport wojskowo-technicznych usług jest bardzo dochodowy. Według danych amerykańskiego urzędu do spraw pomocy na rzecz bezpieczeństwa, udzielanie takich usług na podstawie programu państwowego przyniosło amerykańskim producentom broni, w latach 1975—77, 2,45 miliarda dolarów zysku. Należy do tego dodać miliard dolarów, który w tym czasie otrzymały ame-

rykańskie firmy za transakcje dokonane w ramach tego programu.

Nie zostali także skrzywdzeni "najemnicy w białych kołnierzykach". W 1975 roku każdy z tysiąca pracowników firmy "Vhynnell Corporation" zatrudnionych w Arabii Saudyjskiej zarabiał po 1.800 dolarów miesięcznie, korzystał z bezpłatnego mieszkania, a po wygaśnięciu terminu kontraktu otrzymał premię w wysokości 2.400 dolarów. Za usługi wiodących pracowników i wysoko wykwalifikowanych techników płać się oczywiście znacznie więcej. Powstaje pytanie, skąd czerpią amerykańskie korporacje kadry tych najemnych speców? W większości są to weterani wojskowi. Szczególnym wzięciem cieszą się emerytowani generałowie, którzy, znalazłszy się w gronie "białych kołnierzyków", mają zapewnioną pracę na nieograniczony czas i wysokie wynagrodzenie, o jakim nie mogli marzyć w Pentagonie. Na przykład pracę konsultantów lotniczo-kosmicznej korporacji TRW w Iranie kierował emerytowany generał brygady. Na czele półtora tysiąca pracowników, w większości już emerytowanych, których skierowała do Iranu korporacja "Bell Helicopter", postawiono również generała. Amerykańskie pismo "Aviation Week and Space Technology" podaje, iż kompania "Rockwell International", której były rząd szacha powierzył zaprojektowanie, wybudowanie i uruchomienie elektronicznego systemu podsłuchu i zbieranie informacji szpiegowskich (projekt AIBECIS) stworzyła specjalną grupę z byłych agentów CIA i pracowników Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, która instruowała personel irański.

Korzyści płynące z nowego rodzaju biznesu żywo zainteresowały także zachodnioeuropejskich partnerów USA z NATO. Świadczą o tym kontrakty na produkcję broni, które zawarły: Anglia i Francja z Arabską Organizacją Przemysłu Zbrojeniowego (AOPZ). Kontrakty te, jak informuje publicysta "Le Temps Nouveaux", A. Kapikrajan, przewidują skierowanie dużej liczby cywilnych techników do Arabii Saudyjskiej i innych krajów członkowskich AOPZ. Zgodnie z zawartym uprzednio porozumieniem, "British Aircraft Corporation" zapewni szkolenie pilotów saudyjskiego lotnictwa wojskowego i personelu naziemnego, jak również techniczną obsługę saudyjskich sił powietrznych, niezależnie od tego czy samoloty dostarczy Wielka Brytania czy też inne kraje zachodnie. Wielki kontyngent zagranicznych "białych kołnierzyków" bierze również udział w programach produkcji zbrojeniowej w takich krajach, jak Turcja, Indonezja, Filipiny, Południowa Korea.

Ale na tym nie koniec. Niektóre kompanie, zaczynają dostarczać bardziej wyspecja-

lizowane usługi, jak na przykład w zakresie skomplikowanych rodzajów broni czy też projektowania, budowania i organizacji pracy nowych fabryk zbrojeniowych. Usługi te dotyczą też takich dziedzin, jak: służby radiolokacyjne, kontrola ruchu powietrznego, kontrola łączności, opracowywanie danych wywiadu i inne, tj. takie dziedziny, które są wyjątkowo ważne dla współczesnej armii i od których bezpośrednio zależy funkcjonowanie maszyn wojskowej. W istocie chodzi tu o lokowanie najemnych specjalistów na kierowniczych stanowiskach w wojskowych instytucjach szeregu rozwijających się krajów, o przenikanie do wyspecjalizowanych ośrodków organizmów wojskowych. Ta okoliczność, jak i sam fakt obecności dziesiątków tysięcy cywilnych najemników, przedstawiają znaczne potencjalne niebezpieczeństwo, bowiem w wypadku działań wojennych, jak informował swego czasu amerykański tygodnik "Nation", amerykańscy specjaliści zostaliby do nich wciągnięci od samego początku. Mimo tych wszystkich problemów zobowiązania USA w tej dziedzinie rozszerzają się coraz bardziej. Na przykład techniczne usługi i innego rodzaju niematerialne artykuły wojskowego eksportu USA np. do Arabii Saudyjskiej ocenia się, tylko w tym roku, na sumę 3 miliardów dolarów. Politykę tę dyktują ogromne zyski, jakie produkcja broni przynosi korporacjom. Ale nie tylko. Sprzedaż wiedzy wojskowo-technicznej zajmuje obecnie ważne miejsce w globalnej strategii USA, która wiąże w ten sposób z amerykańską maszyną wojkową kraje nabywające broń. Ponadto Stany Zjednoczone dążą do zapewnienia sobie kontroli nad użyciem dostarczonej broni, a także liczą na to, iż rozwijające się kraje będą niekończące długie uzależnione od pomocy USA i innych krajów zachodnich w dziedzinie wojskowej. Wiele z nich kupuje bowiem broń szybciej, niż może przygotować niezbędnych specjalistów. "Le Monde" w artykule z października ub. roku wskazał na jeszcze jeden aspekt tej sprawy: dziesiątki tysięcy amerykańskich wojskowych, nazywanych doradcami technicznymi, odgrywają w rzeczywistości rolę zamaskowanej armii, ochraniającej naftowe przemysły strefy Zatoki Perskiej i prowadzą wywiad wojskowy na południowych granicach Związku Radzieckiego. Obok tego brano pod uwagę, iż ta zamaskowana armia mogłaby być użyta do obrony wygodnych dla USA reżimów w tym rejonie świata.

Wszystko to wskazuje, jak niebezpieczna dla pokoju na świecie jest obecność "najemników w białych kołnierzykach" na terytoriach suwerennych krajów.

J. CZECH



Na zdjęciu: Samoloty F15. Obsługa 60 takich samolotów, które USA mają dostarczyć Arabii Saudyjskiej wymaga około 800 wysoko wykwalifikowanych amerykańskich inżynierów i techników.

Foto: UPI

Poświętaczny tydzień nie obfitował w nadmiar wydarzeń międzynarodowych. Ale niektóre wymagają nieco szerszego naświetlenia.

W WIEDNIU, gdzie — jak wiadomo — 19 państw dyskutuje o wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej, zakończyła się XVII runda rokowań. Była to, by powtórzyć za TASS, "runda nie spełnionych nadziei i nie wykorzystanych możliwości". Po prostu na kolejnych posiedzeniach (było ich dotąd 201) nie osiągnięto oczekiwanego postępu, choć obie strony nie oceniają sytuacji jako pesymistycznej.

Na czym obecnie utknęły rokowania?

W toku której z niezwykle powściągliwością mówił o SALT II. — Wyważanie każdego słowa — skomentowano — miało na celu nieskomplikowanie ostatniej fazy rozmów, przed rychłym jej zakończeniem. Czy rzeczywiście prace zostaną szybko zakończone i dojdzie do szczytu w celu m. in. złożenia podpisów pod nowym porozumieniem — przekonamy się wkrótce. Można natomiast zaryzykować twierdzenie, że pomyślny finał SALT nie pozostałby bez dodatniego wpływu na przebieg rokowań wiedeńskich.

Tymczasem w STANACH ZJEDNOCZONYCH ugrupowania militarne wzmogły nacisk na podjęcie nowej ofensywy zbrojeniowej — pew-

przyniósł niemal całkowite poparcie dla rządowej polityki.

— SYTUACJĘ W IRANIE

Nastąpiło pewne skomplikowanie. Jednym z jego przejawów jest dymisja ministra Spraw Zagranicznych — K. Sandzabiego, który oświadczył, iż krok swój podjął w następstwie niezadowoloności, jakie szerzy się w kraju. Zdaniem obserwatorów — minister nie podzielał opinii co do sposobów uzdrowienia sytuacji w Iranie.

Chomeini natomiast oskarżył wrogów Iranu o podsyłanie niepokoju i "sianie niezgody nawet wśród przywódców religijnych". Mocarstwa im-

KRONIKA TYGODNIA

Na starych problemach. Chodzi o to, aby pomniejszenie zbrojeń i sił zbrojnych było równomierne i nie dawało przy okazji redukcji przewagi którejś ze stron. Zachód tymczasem wciąż upiera się przy koncepcji redukcji "asymetrycznych". Szczegółowa kwestia jest wyjaśnienie rozbieżności na temat danych wojskowych oraz zobowiązań w drugiej fazie redukcji. Jednocześnie nadal bez przytoczenia poważnych argumentów Zachód nie przyjmuje propozycji krajów wspólnoty socjalistycznej, dotyczących zamrożenia liczebności wojsk państw uczestniczących w rokowaniach wiedeńskich na okres ich trwania.

Już z tej skróconej prezentacji wynika, że obywateli problemów jest wiele i rzeczywistość teraz właśnie zakończona kolejna runda nie przyniosła postępu.

Odmiennie ocenia się **RADZIECKO-AMERYKAŃSKIE ROKOWANIA NA TEMAT OGRANICZENIA BRONI STRATEGICZNYCH**. Przeważa opinia, że już bardzo niewiele spraw pozostało do uzgodnienia. Wniosek taki wysnuwa się również z konferencji prasowej prez. Car-

ter, w toku której z niezwykle powściągliwością mówił o SALT II. — Wyważanie każdego słowa — skomentowano — miało na celu nieskomplikowanie ostatniej fazy rozmów, przed rychłym jej zakończeniem. Czy rzeczywiście prace zostaną szybko zakończone i dojdzie do szczytu w celu m. in. złożenia podpisów pod nowym porozumieniem — przekonamy się wkrótce. Można natomiast zaryzykować twierdzenie, że pomyślny finał SALT nie pozostałby bez dodatniego wpływu na przebieg rokowań wiedeńskich.

Tymczasem w STANACH ZJEDNOCZONYCH ugrupowania militarne wzmogły nacisk na podjęcie nowej ofensywy zbrojeniowej — pew-

przyniósł niemal całkowite poparcie dla rządowej polityki.

— REFERENDUM W EGIPCIE

Pomyślane ono zostało przez Sadat jako forma powszechnej akceptacji traktatu z Izraelem. Pytanie brzmiało: czy zgadzasz się na traktat pokojowy z Izraelem i zawarte w nim aneksy oraz ustanowienie całkowitej autonomii dla ludności palestyńskiej na terenach Zachodniego Brzegu Jordanu i Strefy Gazy? Taka formula nie przedstawiała możliwości krytyki separatystycznego układu i dlatego wynik referendum

peralistyczne próbują "wywrzeć presję i ingerować w wewnętrzne sprawy kraju. „Spojrzenia Amerykanów — powiedział Chomeini — kierują się w stronę irańskiej nafty i innych bogactw naturalnych naszego kraju”.

— CHIŃSKIE PROWOKACJE ZBROJNE

Mimo rozpoczęcia rozmów między oficjalnymi delegacjami Wietnamu i Chin — strona pekińska nadal dokonuje zbrojnych prowokacji przeciwko SRW. Agencje pisały o ostrzeliwaniu miasteczek i osiedli oraz o wtargnięciach oddziałów chińskich na obszar wietnamski. Z faktów tych nie wyciąga się optymistycznych prognoz co do przebiegu dwustronnych rozmów. — W najlepszym wypadku — napisał jeden z komentatorów — będą one przewlekłe i mało skuteczne.

W. SŁAWSKI

ODGŁOSY 9



Na dachach Hanoi działa przeciwlotnicze obsługiwanie przez kobiety z obrony cywilnej.

Nie jest to temat jedynie „ed świateł”, użyteczny tylko „w ramach akcji”. Kultura robotnicza jest warta uwagi i bez okazji, stanowi ona owo przedmiot dalekosiejdnej zainteresowania polityki kulturalnej państwa. Odbijane w różnych ośrodkach kraju spotkania ludzi zajmujących się działalnością kulturalną wśród robotników dowodzą też, że jest to temat stale szeroko otwarty ze względu na niejednoznaczność i rozbieżność poglądów.

Przed wszystkim istnieją — chyba dość nieliczni, ale apodyktyczni — przeciwnicy wyodrębniania tego pojęcia, którzy argumentują, że jest tylko jedna kultura narodu, a używanie przymiotnika „robotnicza” wprowadza rzekomo podział na dwie przeciwstawne kultury — elitarną i masową. Ale choć sformułowanie to brzmi efektywnie i nawet wzniosłe, wydaje mi się ono czysto werbalne. Jeśli bowiem z niezwykłą szerokością zakresu pojęcia, globalnej (w tym i materialnej) kultury wyłączać to, co dotyczy życia umysłowego albo (zamiennie) duchowego, wówczas każdy praktyk potwierdzi, że poszczególne klasy i warstwy mimie postępującego procesu niwelacji (która bywa też równaniem inteligencji w dół) żyją jednak w większości w kręgu różnych upodobań i potrzeb. Toteż i w znaczeniu biernego odbioru, inaczej „konsumpcji” kulturalnej przymiotnik „robotniczy”, podobnie jak „wielki” czy „studencki” — na razie bytu, a nie jest zabarwiony ujemnie.

NA CZYJĄ MODLĘ?

Wiadomo powszechnie, że w korzystaniu z tego, co oferuje w dziedzinie sztuki ambitniejszej artystycznej teatr, film, instytucja koncertowa, wystawa plastyczna, uczestnictwo robotników jest niepokojąco niskie. Gdyby jednak zainteresować się — w porównaniu z kim, odpowiedź by brzmiała: w porównaniu ze środowiskiem inteligencji. A więc wniosek zdawałoby się nieodparty i jedyny: zachęcać, namawiać, nawet przymuszać — żeby tylko jak to się mówi zbliżyć sztukę do ludzi, co leży też w słusznym założeniu „Sojuszu świateł” z kulturą i sztuką.

Mam niejaki podstępny szadzi, że nieledwie „Instruktor od kultury” widzi rzecz następującą: „Niechby się

tylko robotnicy zapatrzyli na inteligencję i chociaż w tym stopniu co ona korzystali z dóbr kultury artystycznej, mielibyśmy wszystkie problemy z głowy”. Podejrzewam, że rzadziej przyjdzie mu na myśl, iż może nie wszystkie treści kultury mają szansę trafić do robotników i że nie zawsze musi to być powód do zalamywania rąk — poza zmartwieniem o statystykę i kasę.

I w tym momencie jako publicysta odczuwam brak pewnych określeń i powojennych dyskusji o kulturze, toteż posłużyć się nimi mimo iż wypadły z obiegu. „Kawiarziana inteligencja”. Jakże celne określenie pewnego rodzaju towarzyskiej kokieterii polegającej na żonglowaniu nazwiskami artystów, tytułami dzieł, hasłami kierunków i manifestów literacko-artystycznych (i to raczej zagranicznych) przy równoczesnej nieznamienności tematu. Było tylko zapamiętać nazwę nowego „izmu” i w te pedy z nowinką do innych, żeby zabłysnąć przed jeszcze nieświadomymi. Prawie nieaktualne było (już nie jest?) wyciągać kogoś takiego na spyt, żeby się czegoś konkretniejszego dowiedzieć. Indagowany zawsze mógł się wykić przed taką „zasadniczą” natarczywością byskotliwym powiedzonkiem, bo byskotliwość była w wyższej cenie na kawiarzianym (klubowym?) targowisku próżności, niż gruntowna wiedza o przedmiocie.

A nierzadko towarzyszyła tym postawom zupełna ignorancja w zakresie dzieł stanowiących fundament nie tylko szkolnej edukacji, ale i narodowej kultury — „Dziadów”, „Beniowskiego”, „Nie-Boskiej”, „Wesela”, a na dobra sprawę i „Pana Tadeusza”. Choćbyż było w nich „zakodowany” cały system znaczeń i odwołań ciągle żywych w kulturalnym krwioobiegu narodu.

Przypominają mi się te dawne sprawy, ilekroć natykam się na ludzi „robacych w kulturze”, którzy w dług snobistyczno-kawiarzianego modelu wyobrażają sobie rozbudzanie kulturalnych aspiracji klasy robotniczej, jak gdyby nie pojmowali, że czy to łódzka włókiennicza, czy śląski górnik ludzie ciężkiej pracy, nie mający często wykształcenia wyższego niż podstawowe, za to twórcy „szkoły życia” i gotowości do noddania się z ufaniem poważnej kulturalnej edukacji właśnie najsilniej są spragnieni

tego, żeby się poczuć wśród znanych ze słyszenia i jeszcze ze szkoły nazwisk i tytułów jak u siebie w domu, na równi z ludźmi mającymi szkolną edukację, rozumieć ten język, którym się mówią i pisze o sprawach niby to bliskich, a jednak niezrozumiałych. Co im tam nowinki z Paryża czy Broadwayu!

Ale to nie usprawiedliwia niedoceniania tak ważnych dziedzin działalności, jak popularyzacja wiedzy ścisłej i przyrodniczej oraz techniki. Trzeba zdać sobie sprawę, że dla rozwoju osobowości poważniejsze zainteresowanie laserami, kosmonautyką czy elektroniką ma nie mniej znaczenie, wymaga bowiem co naj-

JERZY KWIECIŃSKI

ROBOTNICZA

— NIE KAWIARNIANA

Oczywiście uzupełnianie luk szkolnej wiedzy w zakresie ojczystej literatury czy historii nie wyklucza całkiem równoległych twórczości, łączących z osiągnięciami innych kultur.

CZY TYLKO SZTUKA?

Ale popadlibyśmy w niepożądaną jednostronność, gdybyśmy mówiąc o kulturze mieli stale tylko na uwadze artystyczne i humanistyczne zainteresowania, tylko im przypisywali konstruktoryjną rolę wychowawczą. Oczywiście, w polskiej tradycji humanistyka, a zwłaszcza literatura piękna, spłótła się nierozdzielnie z sprawami wywołanymi narodowymi i społecznymi, będąc w okresie zabórów, w braku własnej władzy państwowej, trybunałem i sumieniem narodu, stał się wyjątkową rolę romantyzmu w naszej tradycji kulturalnej.

mnij tak samo dużej koncentracji umysłu i napięcia duchowego, nie mniej też woli i uporu niż uczestnictwo w zespolach artystycznych. Chodzi więc o to, by w stosunku do ludzi działających w kołach zainteresowań naukowych i technicznych wytworzyć taki sam klimat uznania i szacunku jak dla towarzyszy poczynaniom amatorów na niwie artystycznej, a nie raz i na poletku banalnej rozrywki.

Bo zdajmy sobie sprawę, że zachodzi istotna sprzeczność pomiędzy moralną postawą (nazywamy ją tak dalej) towarzysko-kawiarzianą, pozbawiającą dla darów wrodzonych „Leń, ale za to zdolny!” wyrozumiałości moralnej. „Może nie całkiem uczciwy, ale za to inteligentny i sympatyczny” z postawą ukształtowaną przez ciężką pracę, ceniącą wytrwałość, charakter, solidarność. Trzeba to mieć na uwadze dokonując wyboru pomiędzy tradycjami i treściami kultury, które nadają się do zaakceptowania przez klasę robotniczą.

okół, w którym się znalazłem, był dość obszerny, ale w niczym nie przypominał znanych mi gabinetów wyższych funkcjonariuszy administracji czy gospodarki. Człowiek, o którym wiele już wiedziałem i o którym przez ostatnie dni myślałem prawie nieustannie — także już samym wyglądem odbiegał od mojego wyobrażenia o jego osobie. Był stary, kiedy teraz wszędzie za biurkami na wysokim polskim rozpięli się czterdziestolatki. („My, z zetepowskiego pokolenia przejmujemy teraz w swoje ręce odpowiedzialność za losy kraju” — mówili o sobie). Człowiek, do którego siedziałem z wyciągniętą ręką, miał swoje lata ale wyglądał zdrowo i krzepko. Był dość niski, szeroki w barkach, o wyrazistej pobrudzonej twarzy, ogorzałej od wiatru, z siwym, puszystym wąsem. Uniósł się lekko, przełożył z prawej do lewej dłoni fajkę, mocno uścisnął mi rękę i powolnym gestem wskazał długi stół konferencyjny pod przeciwną ścianą. Sam został na drewnianym krześle za standardowym biurkiem mając w zasięgu ręki dyspozytorską szafę.

Szczegółowo wyłożyłem mu powody swego przyjazdu do Kamieńca, wyjaśniłem koncepcję raportu, nie ukrywając, że jej główny sens polega na dramatycznym budowaniu wydarzeń wokół jego osoby. Nie przekszadzałem mi mówić, ale także nie reagował. Używałem zwykłych w takich wypadkach argumentów, jak to się czyni dla osłabienia swojego rozmówcy, by przebić tę otoczkę fałszywej skromności, jaką każdy chroni własną osobę. Seibor miał jednak nadal nieprzenikniony wyraz twarzy, może tylko oczy bardziej ożywione ironicznymi iskierkami. Nieco tym zdetonowany zacząłem od początku.

— Rozumiem — stuknął lekko o biurko fajkę — ale mnie to nie interesuje.

Zwielokrotniłem swoją gorliwość, znowu zarzucałem go dziesiątkami argumentów, z których w sumie wynikało, że mój raport jest co najmniej sprawą wagi państwowej. Ten zalew słów spowodował tylko, że pewnie niecierpliwie Seibora.

Powiedziałem, że nie, to nie — zaakcentowałem to podwójnie „nie” lekko ochrypłym głosem. — Szkoła pana słów.

Dopiero w tym momencie zrozumiałem, że to zadna kokieteria, gra na strunie przesadnej skromności, ale zdecydowany, stary przeciwnik, którego nie obala żadne słowa. I zupełnie się pogubiłem.

— Ależ, dyrektorze, chciałbym przy-

najmniej wiedzieć, dlaczego? Słowo

daje, że pierwszy raz w życiu znalazłem

się w takiej sytuacji. Nigdy się

nie zdarzyło, żeby nam ktoś odmówił.

— Ja nie jestem „ktoś” — przerwał

mi na wpół żartobliwie, ale z naciskiem. — Pan mnie nie zna, młody

człowieku.

— Ja nie jestem „młodym człowie-

kiem” — odparłem bez zastanowienia,

ale już mi było wszystko jedno.

— Więc jesteśmy skwitowani — prawie

się uśmiechnął.

Czułem, że po tym zdarzeniu jakby

trochę odtańczył. Uchwyciłem się jesz-

cze jednego, jak sądziłem, ostatecznego

argumentu:

— Przepraszam, panie dyrektorze,

jeśli wyraziłem się zbyt obcesowo, ale

niech mi pan na chwilę uwierzy. Naprawdę

wszystcy traktują udział w audycji

„LUDZIE 35-LECIA” jako duże

wyznacznik. I słusznie. Słucha nas

kilka milionów.

— To co z tego?

— Teraz ja się roześmiałem, zrobiło mi

się prawie wesoło, beznadziejnie wesoło.

— Poddaje się, ale niech mi pan

powie — dlaczego? Tak prywatnie...

— Prywatnie? A co to znaczy? Ja

jestem zwykłym dyrektorem, a nie dy-

plomatą. I wystarczy mi jeden garnitur

na wszystkie okazje, służbowe i

prywatne... A tak, poważnie mówiąc,

zamyślił się na chwilę, przysiadł

wygasła fajkę — po prostu nie nadaje

się do bohatera. Jestem na to choćby

za stary. Pan nie wie, ale ja od

dwóch lat powinienem być na emery-

turze.

— A właśnie, że wiem. I to jest

dla mnie szczególnie frapujące. Mógł

pan przecież to wszystko rzucić w

diabły i spokojnie uprawiać ogródek.

— Znowu pan głupstwa wygaduje...

„Frappujące?” — sapnął z oburzeniem.

— Wstyd bym nie miał, żeby roz-

grzebać taką inwestycję... Rozumie

pan, co znaczy wybudować w szczerym

polu fabrykę za miliard? Ludzie mnie

tu znają i wiedzą, że jak coś zaczą-

łem, to muszę skończyć — dodał bez

żadnej emfazy. — Myślę, że to jedyny

przymus, jaki człowiek może tole-

rować.

Dziwczyną z sekretariatu wniosła

na tacy herbatę, cukiernik i podała

mi szklankę.

— Może jeszcze kawę, panie dyrek-

torze?

— Dziękuję, nie.

— Inżynier Malicki... chciałem przy-

pomnieć... pytał... prosił... Może mu

pan dyrektor wyznaczyć godzinę.

— Ty się za nim, dziecko, nie wsta-

wiaj... Niech czeka...

— Przepraszam ja nie chciałem...

— Już dobrze, dobrze... a kiedy

speszona dziewczyna zamknęła drzwi,

smarknął do siebie: — niech skruszeje.

Wykorzystałem okazję i spytałem:

— Podpadł?

— Gówniarz, ludzi mi na budowie

rozpuścił, ale go nie chcę spisać na

straty, bo zdolny.

— Więc jak z nami będzie?

— Z nami nie będzie, już powie-

działem. Ludzi u mnie setki. Proszę

bardzo, w czym mogę pomóc? Dam

samochód, pokój w hotelu, opiekuna,

przepustkę. Co mogę więcej?

— Wie pan, czego jeszcze chce.

— Mnie nie trzeba reklam. Całe ży-

cie przeszedłem bez podpórki. I ja-

koś szło.

— Dziwny z pana człowiek — po-

wiedziałem już z ostateczną rezygna-

cją.

— Jestem starego bicia, mój chłop-

cze. I dlatego się nie rozumiemy.

POLEMIKI

Ponad dwadzieścia lat temu, bodaj w Nowej Kulturze, ukazał się rysunek bodaj Karola Ferstera zatytułowany „Krytyka oddolna i krytyka odgórna”. Znakomity, jeśli tyle czasu przetrwał w ludzkiej pamięci. Przedstawiał dwóch panów, którzy na siebie wzajemnie chłusztali czymś z kubiów. Ale jeden z nich stał na siemni, drugi zaś wychylał się z okna drugiego piętra. Identyfikacyjny stosunek skuteczności krytyki zachodził pomiędzy prasową krytyką lokalną i krytyką mającą zasięg ogólnopolski. Zjawisko to ujęte w formę dzieła sztuki dwa dziesięć lat temu, znane jest i wykorzystywane od dawna. Nie wiem, w jakim stopniu w innych miastach. W Łodzi — dość często.

„Jerzy Walden w swojej, opartej o wspomnienia, książce „Cztery i pół” opisuje między innymi postać znaną w okresie międzywojennym reżysera teatralnego, Zygmunta Nowakowskiego. Był to krawalnik, który pierwszy w Polsce wśród pracowników teatru uzyskał tytuł doktora. Przysporzyło mu to chwały i lubiącego się w tytułach Krakowie, zawiadło w Warszawie. Jerzy Leszczyński, „słyszcząc, jak Nowakowski wyraźnie podkreśla ten tytuł przedstawiając się, „przysiał mu na drugi dzień do mieszkania swoją służącą, która prosiła pana lekarza o wyleczenie jej z jakiejś uciążliwej dolegliwości”.

Takie dowcipy oraz „brak sukcesów artystycznych” sprawiły, że Nowakowski przeminął się do Łodzi, ale tu również spotkał go zawód, gdyż zmienił się plany ówczesnego dyrektora Teatru Miejskiego, Wroczyńskiego. „W przypadku Nowakowskiego — pisał Walden — cios trafił w człowieka, znajdującego się w szczytu teatralnej hierarchii. Zemścił się więc we właściwy sobie sposób. Napisał złośliwy artykuł o Łodzi i jej teatrze. Złośliwy i w dodatku nie sprawiedliwy. Zatyłował go „Łódź mojego żywota”, po czym ten paszkwil wydrukował w swoim ukochanym krakowskim „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”, bardziej znanym pod popularną nazwą „Ikca”.

„Ikca” miał zasięg ogólnopolski. Chłusztal więc szeroko. Jakakolwiek replika „Kuriera Łódzkiego”, czy „Republiki”, nie dotarłaby dalej niż do Zgierza, a poza tym — wywołałaby pobłażliwą uwagę gazety krakowskiej: jacy oni tam są czuli na słowo krytyki...

W latach 1937 — 1939 pracował na scenach łódzkich aktor Bronisław Dąbrowski. Mógłbym z pamięci wymienić kilkanaście osób ze świata aktorskiego ówczesnych czasów, które cieszyły się w Łodzi ogromną popularnością. Nie było wśród nich Bronisława Dąbrowskiego. W roku 1977 ukazały się jego wspomnienia zatytułowane „Na deskach światła oświecających”. Chwalił poczynania Wroczyńskiego, natomiast niejaki Leon Schiller ginie w cieniu... Bronisława Dąbrowskiego. I tu znakomita anegdota o Schillerze, tylko że widziana w niewłaściwej perspektywie. W Kordianie miał Dąbrowski wygłaszać monolog „Lekam się spojrzeć w przepaść światła ciemną”, stojąc na malej platformie na szczycie „Mont Blanc”. Na tej wysokości zaczął jednak tracić równowagę, rzucił więc pod adresem reżysera, „w przepaść światła ciemną”, rozpaczliwe pytanie: „Jak mam to mówić?” A „pan Leon” — popijając czarną kawę — odpowiedział spokojnie, jakby nie domyślając się, o co mu chodzi: „Bardziej refleksyjnie, panie Bronisławie”.

Brak powodzenia na scenie znanej ze znakomitych kreacji najwybitniejszych polskich aktorów oraz brak poczucia humoru, popełniony Bronisław Dąbrowskiego do zemśczenia się na Łodzi. W swojej książce pisze na s. 141: „W ciągu wielu dziesięcioleci teatr tego miasta nie wyjeżdżał poza rogatki. Mnożyły się wtedy nie najlepsze teatry, ki amatorskie przyzakładach pracy. Przedstawienia odbywały się w jednym teatrze za wodowym, a później sporadycznie na kilku innych dość prymitywnych scenach”.

Ignorancja idzie tu o lepsze z nieprawdą. Ale — książka ma zasięg szerszy niż łódzka prasa lokalna. Recepta Zygmunta Nowakowskiego działa.

Wymieniony tu dwukrotnie Kazimierz Wroczyński kierował teatrem łódzkim w okresie międzywojennym ze zmiennym powodzeniem. W roku 1939, pomimo otrzymania od władz miejskich olbrzymiej dotacji, — spłajtował, czyli ogłosił niewypłacalność. Pracownicy teatru zostali bez gaży. Fakt ten doprowadził do bardzo rzadkiego w tej instytucji wydarzenia, jakim był strajk okupacyjny. Nieprzejędną postawą aktorów, ogromne poparcie łódzkiej publiczności dla strajkujących nie mogły być dla dyrektora mi-

mutki do różnych ról, a dyrektorzy „dbali tylko o wysoki poziom sztuki. Jaka była prawda, można dziś jeszcze zapytać Leona Pietraszkiewicza.

Z powyższego nie wynika, że uważony aktor czy reżyser, któremu się w Łodzi nie powiodło, musi działać obojętnie. W latach 1970 — 1974 łódzkim Teatrem Nowym kierował Jerzy Zegalski. W opinii aktorów i publiczności był to najmłodszy i najgorętszy z aktorów, o którym teatru i tylko powrócił Kazimierz Dąbrowski przywrócił kulturze polskiej tę zasłu-

żankę. W tym czasie Jerzy Zegalski był mężem o patrzościowym Łodzi, a miasto go nie rozumiało i nie uznawało. A więc हुआ na miasto, które ma publiczność odporną na bakcyle teatru, do którego „artyści muszą iść jak na zestanie”. Nowy „trójkąt bermudzki” kultury między Kolaszkami, Kulem a Łowiczem? I kto się tam dostanie, wszelki śluch o nim zaginie...”

JERZY URBANKIEWICZ

ZEMSTA — ROZKOSZĄ NIE TYLKO BOGÓW

le, Prasa bez litości wyliczyła, ile pieniędzy dyrektorzy (obok Wroczyńskiego — Morzyński) dostali z kasy miejskiej.

Co w takiej sytuacji pozostaje uważanemu dyrektrowi? — Wiem! Wiem! — Napisał artykuł, albo wydał książkę i rozprawił się z Łodzi. W roku 1957 ukazała się książka: „Pół wieku wspomnień teatralnych”. Ze wspomnień wynika, że okres dyrekcji Wroczyńskiego i Morzyńskiego był zbawienny dla teatru łódzkiego, natomiast publiczność łódzka, prasa i panujące w kulturze stosunki, przedstawione zostały jako okropne. Do strajku doszło nie daleko, że aktorzy nie dostali gaży, ale dlatego, że dziennikarz protegował „miernotki-szel-

zoną placówkę. Tymczasem w roku ubiegłym na łamach Życia Literackiego znalazł się oświadczenie artykuł Z. Grenia, przedstawiający Łódź jako „trójkąt bermudzki kultury”. W artykule zaś — apologia Zegalskiego: „Bywały okresy, kiedy teatry łódzkie były bardzo dobre, a jednak widownia pozostawała pustawą. Na początku lat siedemdziesiątych Jerzy Zegalski dawał w Teatrze Nowym przegląd repertuaru zachodnioeuropejskiego, pierwszy wprowadził na scenę Odona von Horwatha „Opowieści o lasku wiedeńskim”; Zygmunt Hübner reżyserował „Amerykę” Kafki w adaptacji J. L. Barrault, co powinno stać się wydarzeniem. Miasto zachowało się obojętnie...”. I nieco dalej: „Był moment właśnie z po-

przyczyłem cetera przy-padki „zemsty” na naszym mieście za osobiste niepowodzenia. Zwróciły na siebie uwagę w toku bieżącej lektury. Zdaje się, że gdyby komuś się chciało szukać, przypadkowo znalazłby więcej. Jednocześnie rzucił się na oczy fakt zaskakujący. Przybyliśmy w Łódź do niezbyt korzystnej pozycji „przedmieścia Warszawy”. A tymczasem trzy z opisanych katapult wyrzucano w Krakowie. Przypadek? Jej Boże — nie wiem. A my? — W odpowiedzi na powręczanie do naszego ogródka kamienie, w tamtą stronę chlebem: łodzie, nie skap-cie na odbudowę krakowskich zabytków! Tak, bo tu chodzi o odbudowę Krakowa, a nie małoduszne pomówienia.

Kierowca naciskał gaz, jakby wy-
czuwał moją niecierpliwość. Nie
było to łatwe w zatłoczonym sa-
mochodzie i chłopskim furman-
kowi. Kamieńcu, Musiał być dzień tar-
gowy, pociąg nie mógł się na chod-
nikach nieważnie wbić na jezdnię.
Jednego chłopięcego omal nie potrafił, co
już ostatecznie wyprowadziło kierow-
cę z równowagi.

— No, co pan na to? Jak mi Bóg
mily, stuknę kiedyś takiego drania.

— Piesi też ludzie — powiedziałam.

— Panie, co pan mi będzie mówić.

Od czterdziestego piątego za kółkiem.

— Cały czas z dyrektorem Scibo-
rem?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem i
melancholijnie westchnął. — Cały czas,
redaktorze.

— To nie zazdrościsz.

Twarcz zrobiła mu się momentalnie
czujna, chociaż irytację starał się po-
kryć uśmiechem.

Już panu nagadali na starego. Oj,
ci ludzie... chociaż ostatnio, nawet już
donosów nie piszą. I gazety też dają
mu spokój.

— Rozumiem, groch o ścianę.

— Na to wychodzi. I dobrze. Bo jak
się, panie, daje człowiekowi w ręce
taką firmę, takie bogactwo, to trzeba
mu wierzyć. A on by własnego lepiej
nie pilnował... Nie zliczyłbym, panie
ile razy mnie żrugł ale ja już wolę
takich, co mają ciężką rękę i uczciwie
wymierzają sprawiedliwość. Już ja ta-
kich wolę, niż tych gładkich, uśmiech-
niętych.

Nietrudno było się domyślić, że
kierowca jest gadułą, który przy cze-
cie nie może sobie pomarzyć i od-
bija sobie na przyrodnych pasażerach.
Ale było mi to na rękę, jak nigdy.
Wsiadając, dyskretnie włączyłem ma-
gneton i po chwili miałem oryginal-
ną wypowiedź kierowcy o dyrektorze.
Tylko dodać wstawkę narracyjną i mo-
że wyjść całkiem niezły kawałek.

— Daleko jeszcze? — spytałem, bo
jechał mi jakąś inną drogą, której
nie znałem.

— Mogę przysiąc.

— Nie, nie, piękna okolica, jest na
co popatrzeć — okolica rzeczywiście
była piękna, ale byłem jak najdalej od
kontemplowania jej uroków.

— Okolice niczego sobie, nie powiem
— monologował dalej niepowstrzyma-
nie. — Ale mnie już obmierza. Nie
ma dnia, żebyśmy tędy nie jechali. A
i nocą często się ze starym telepiem
na tę sakramentną budowę.

— Pewnie pański szef cierpi na bez-
senność.

— On cierpi na robotę, redaktorze
— roześmiał się zadowolony ze swego
konceptu — i tak go nosi po tych bu-
dowach nawet dojrzy jak agrono-
mówkę diubia. Jak ma do tego humor,
to mu czasami przysadzi, jaka to
wielka szkoda, że nie potrafi być w
kilku miejscach na raz... tak, tak pa-
nie redaktorze — zamysłili się na chwi-
lę, prosiłem Boga, żeby taśma się nie
skonczyła — to nie bezsenność. On po-
 prostu nie potrafi inaczej żyć. Chwy-
ta pan to? Ma takie pieskie życie, a
nie potrafi inaczej.

— Nie rozumiem — musiałem uda-
wać Greka — życie, to życie, praca, to
praca.

— To pan, mimo że redaktor nie
nie rozumie, za przeproszeniem.

— A co tu rozumieć? — drażniłem
dalej.

— Panie, jak starego poślą na eme-
ryturę, to długo nie pociągnie... Tfu,
na psa urok, ale tak mi się widzi.

— A poślą?

— Chyba nie, na pewno nie. Za-
chudzi w uszach na dyrektora Scibo-
ra... Przynajmniej jak budowy nie
skonczy, a czy na tym będzie koniec?
— wskazał ręką widoczną już panora-
mę budowy. — Nie powiedziałbym.
Różnie ludzie przebiekują.

Zjeżdżaliśmy w dół ku głównej
bramie. Pomyślałem, że żalem, że gdy-
by ta droga trwała parę godzin, kto
wie, czy nie miałbym całego reporta-
żu, nie wysiadając ze służbowej wołgi
Scibora.

Wyciągnąłem papierosa, zapali-
łem. Kierownik budowy przy-
szedł koło mnie widząc mój nie-
byt ukrywany brak zaintereso-
wania i zmęczenie.

— Skąd się pan tu wziął, inżynier-
ze? — spytałem zbolalym głosem, tak,
że nie zabrzmiało to impertynencko.
Chwilę się zastanowił.

— Jestem stąd, z Kamieńca — zdjął
helm i położył obok mego. — Miałem
stypendium fundowane z Kapebe
i wróciłem odpracować. Od tego się
zaczęło.

— Inaczej by pan nie wrócił?

— Pewnie, że nie — zaśmiał się. —
Na studia poszedłem po to, żeby wy-
jechać z Kamieńca. Rozumie pan?

— Rozumiem.

— Wątpię, jeśli pan nie jest z małe-
go miasteczka.

— Nie jestem, ale rozumiem.

— Niech będzie... Chciałem iść na
architekturę, ale zabrakło punktów.
Starczyło w sam raz na wydział bu-

prześlą kotły na czas. I żelwiaki dla
odlewni... wymienili jeszcze kilka urzą-
dzeń, które mają zamiar wyrwać z
gardła braciom-kooperantom.

— Ja to się stało? — spytałem znów
swoim zwyczajem, wiedząc, jak bezna-
dziejne jest to pytanie, jak mu nie
daje cienia szansy na sensowną odpo-
wiedź.

— Eh — zbył mnie lekceważącym
gestem nie pozwalając sobie narzucić
konwencji — dużo by o tym mówić
a na dobrą sprawę nie ma o czym.
Stary bebeczy wyprawa, to po pierw-
sze, na codziennych operatywkach.
Władza wojewódzka i miejska też pod-
puszcza ambicję szczytów, nie ma ty-
godnia, żeby któryś z sekretarzy, albo
naczelnik nie zjechał... I ludzie... no...
ci z Kamieńca, czekała na fabrykę
jak na wybawienie... Tylko ten, kto
codziennie dojeżdża do roboty pięćdzie-
siąt czy sto kilometrów, wie, co to
znaczy robota na miejscu... Jest pan
rozczarowany?

— Brzmi to wiarygodnie — zażar-
towałem.

— Niewiele mamy tu do ukrycia —

Zakrzętnął się koło wszystkiego, wi-
dać było, że jest w dobrym nastroju,
a te nieważne czynności jakby spra-
wiały mu wręcz przyjemność. Ja też
siedziałem w nastroju lekkiej szczęśli-
wości, z jakimś dystansem do sprawy
wokół której chodzę. Już mi chodziło
nie o efekt, ale samą możliwość po-
gadania z sympatycznym facetem.

Wypiliśmy po pół kieliszka.

— Sądę, że płacę mi za myślenie
— powiedział Piechowiak i pódunął
w moją stronę cukiernicę.

— W porządku, ale wiem, że nie lu-
bi pan przesadywać za biurkiem.

— Zgadza się, ale pan musi się
zdecydować: czy to ma być egzamin
z teorii czy z praktyki.

— Zostawmy teorię.

— Odpowiada mi to bardziej, przy-
znaję... Więc teoretycznie powiniem
nie nie robić, tylko myśleć. I rzeczywi-
ście, mam zastępców, głównych spe-
cjalistów, ludzie są do wszystkiego.
Nawet od zarządzania. Jest główny
dyspozytor, on rządzi fabryką jak trze-
ba, wie wszystko i decyduje od ręki...
ale właśnie — westchnął — życie za-
 chłere nie chce być posłuszne najma-
drzejszym teoriom... Dlatego, na przy-
kład, żą po budowie po starym za-
kładzie. Nie wtedy nie zafatwiałem żar-
tuję, pytam o zdrowie, broń Boże ze-
bym wydał jakieś polecenie. No więc
po co? Bo wiem że ludzie to lubią.
Jak szef szwenda się między nimi, jak
utopi gumki w błocie, trzęsie się z
zimna w przelag hall, spróbuje z
kotła zupy regeneracyjnej, zakurzy z
nimi papierosa... No, przy okazji coś
zobaczy na własne oczy coś usłyszy
na własne uszy, coś zapamięta, ale
tak na mur.

— Cieszy się pan sympatią wśród za-
łogi, wiem z pewnego źródła.

— Ale naprawdę, nie o to chodzi.

— A jednak o Sciborze nie mógłbym
tego powiedzieć.

— Zdaje się, że pan idzie mylnym
tropem. My, tutaj, finalizujemy wiel-
ką rzecz. I nie może być tu miejsca
na sentymenty, sympatię czy wrogość.

— Pan drze jednak koty ze Scibo-
rem?

— Owszem, dlaczego nie?

— Takie to normalne?

— W jakimś sensie, tak. Nasze inte-
resy trochę się różnią. On ma szyb-
ko zbudować a ja jak najprędzej
dać pełną produkcję. A nie dam jej
w ogóle, jak będą usterki. To, oczy-
wiście, sprzeczność tylko między na-
mi, bo ci wyżej razem nas rozliczą.

— Pan go nie lubi?

— Ależ skąd — zdziwił się szcze-
rze, ale oczy śmiały mu się do ja-
kichś swoich myśli — tylko nie chciał-
bym być jego podwładnym. Mamy
różne koncepcje kierowania ludźmi.
Jego przeszło trzydziestoletnie do-
świadczenie, to już balast przeszłości. Z
przykrością to mówię, ale tak jest.

— Wybacz pan, dyrektorze, ale
pierwszy raz słyszę, żeby doświadcze-
nie przeszkadzało.

— Ano, tak wychodzi, chociaż w
książkach piszą, że pomaga. Panu to
się wydaje niewiarygodne, bo jak wię-
kszość ludzi nie znających sprawy od
podszewki, przymierzają do niej stereo-
typową miarę. Na obecnym etapie
najważniejszą sprawą jest naukowe
organizacja pracy. Nie wykonywanie
planu, ale autentyczne planowanie.
Może jeszcze tak nie jest, ale planowa-
nie musi stać się kręgosłupem naszej
gospodarki. No, bo niech pan sam po-
wie, co ja będę ludzi agitował, jak
jest spieprzony projekt. Czy jest sens
szturmować terminy, kiedy nawala
kooperanci i nie ma czym zatkać dziu-
ry... — roześmiał się nieoczekiwanie,
ale zaraz wyjaśnił — Przypomniało
mi się jak trzy lata temu wojowałem
ze Sciborem o komputer. O zaprogramo-
wanie budowy metodą Perth, wy-
tyczenie „ścieżek krytycznych”. On się
śmiał, jak ja teraz, a jak usłyszał o
tych „ścieżkach krytycznych”, to aż na
mnie wrzasnął. „Piechowiak, ty mnie,
smarkaczu, nie ucz i nie strasz, w
moim życiu nie było żadnych takich
tam „ścieżek”, ja zawsze waliłem prostą
drogą do celu. Zawsze doszedłem i
dojść teraz.

— I teraz też doszedł lub raczej do-
chodzi.

— Chwileczkę, redaktorze... Szybko
mu odeszła ochota do śmiechu i po
roku zainstalowaliśmy Odrę. Jeszcze
mnie prosił o pomoc, bo miałem do-
jść do Elwro.

— Więc jaka między wami różnica?
Teraz.

— Pewnie zrobiłem na panu wraże-
nie kompletnego technokraty?

— Powiedzmy, że tak.

— Nie, kochany, sam się nie przy-
znam. Wiem doskonale, że ludzie de-
cydują o wszystkim, że dają radę na-
wet kiedy tę naukową organizację
szlag trafi. Pyta pan o różnicę? Ła-
two spytać... Ja bym po prostu nie
cnił, żeby nam ciągle wszystko na-
walało, rwało, utykało, żebyśmy się
nie musieli szarpać, mobilizować,
szturmować, poświęcać zdrowie i wy-
poczynek. W krajach o podobnej tech-
nicznej jak nasza już się tak nie pracuje.
Mogę to poświadczyć. Byłem, widzia-
łem. A jednak... Nie wiem czy ja do-
statecznie jasno...?

— Dle mnie, tak, o słuchaczach po-
myślmy przy montowaniu taśmy.

— O rany, to pan wszystko nagrał?

Poszedłem do wykopu. Kopacz
spojrzał na mnie nieufnie, ale
nie nie powiedział. Ściągnął
helm i usiadł na przyłbie pia-
chu. Zaintrygowałem go tym, przerwał
pracę, pochyliłem się w jego stronę.

— Zna pan dyrektora Scibora? —
spytałem z głupia frant.

— Co mam nie znać, znam.

— A co pan o nim sądzi?

Parsknął krótkim, złym śmiechem,
głupota mojego pytania wydała mu
się zbyt monstrualna, żeby odpowie-
dzieć.

— Niech się pan nie kępuje, zosta-
nie to między nami.

— Co ja sądzę — warknął — nie
moja rzecz. Moja sprawa to układać
rury w kanałach.

— Klasa robotnicza boi się wypowie-
dzić swoje zdanie — za wszelką ce-
nę postanowiłem go wyprowadzić z
równowagi i udało mi się.

— Niech mi pan nie pieprzy o kla-
sie robotniczej. Ja mam akord.

Zmieniłem taktikę, ta droga zawio-
dła.

— Ale papierosa też trzeba zapalić.

Spojrzał na mnie trochę łagodniej
jakby dostrzegł humorystyczność naszej
sytuacji. Odrzucił łopatkę, podał mi
rękę, kiedy się gramolił do góry. U-
siadł obok.

— Ma pan sporta?

— Giewonty mogą być?

— Jedną cholera — przypalił mi —
a pan co za jeden?

Dziennikarzu! dla radia nagry-
wam, — pokazałem mu sprzęt. —
Więc zna pan Scibora?

— Ale śmieszny z pana człowiek —
zaśmiał się łagodniej — jakie miał-
bym nie znać. Zaraz po nim przysze-
dłem, jak tu w Kamieńcu nastał. Ty-
le lat! Aż za dobrze go znam, panie.

— „Za dobrze?” — podchwyciłem. —
To znaczy, że miał pan z nim jakąś
przeprawę.

— Hii, żeby zaraz przeprawę — za-
ciągnął się głęboko dymem. — Stanał
kiedyś nad wykopem i truje z góry.
Nie zauważyłem, że to dyrektor, bo
pewnie bym tak jadaczki nie rozpu-
ścił. A nie szło mi, fakt, woda zale-
wała.

— No i co?

— A nie. Tylko krzyknął: „To
wiał tu, sukinyń, do mnie i pokaz
jak ma być dobrze”. Przecierałem wrze-
szcie oczy, bo spocyn byłam jak nu-
rek i patrzył, jak Boga kocham, Scibor
mnie świdruje oczkami. Pękł raz i
drugi z fai i o narzawisko spytał. To
mówię, że Pielesiak się nazywam i
wziął się do roboty.

— I jak się to skończyło? Nieźle
pan podpadł.

— Za trzy dni wezwali mnie do
kadr. Też tak myślałem, że jaka na-
ganę mi wlepią. A tam taki jeden
chłystek, w krawacie, grabę mi ścisnął
papierkę wypycha. I do kasy prowadził,
po tysiączek specjalnej premii.

Fragmenty powieści „PATRON DLA
BOCZNEJ ULICY” przygotowanej do
druku dla wydawnictwa Radia i Tele-
wizji.

JERZY

KILKA NAIWNYCH PYTAŃ

WAWRZAK

downictwa lądowego. Trzech nas było
z Kamieńca, ale do drugiego roku ty-
lko ja wytrwałem. I wtedy odnalazł
mnie kadrowiec z Kapebe. Akademika
też nie miałem i mnie skusił. Sprzeda-
łem się...

— Ale już pan odpracował.

— Jasne, parę lat temu... I zaczęły
się akurat przymiarki do tego, co pan
widzi. Nie wypadło nie zostać. Pan
rozumie?

— Rozumiem, ambicja zawodowa.

— Nie, chyba bardziej wstyd, żeby
nie posądzili o tchórzostwo. Stary by
sobie na pewno nie darował.

— Eh, nie bądź pan taki skromny —
już trochę doszedłem do siebie i prze-
niosłem się obok niego na metalową
barierkę — nie ma się co wstydić no-
woczesnego romantyzmu. Była szansa
na wielką przygodę i pan z niej sko-
rzytał... Dla mnie to, co robicie, to
szuka dwudziestego pierwszego wieku,
ten rozmach, materialny kształt nowo-
go, także nowego myślenia.

— Niech się pan nie wygłupia!

— Powiedziałem coś nie tak, jak
trzeba? — spytałem z niewinną miną,
ciesząc się, że udało się prowokacja.

— To wszystko prawda — westchnął
bezradnie — ale ja tu prawie od
trzech lat, na tych piaskach, jak na
zsyte.

— Słyszałem, że miało być pięć.

— Tak, urwiliśmy dwa lata, jak

W sekretariacie nie było już nikogo,
ale przez szparę w drzwiach o-
tęchłem dostrzegłem światło.
Zapukałem w ramę, raz i drugi.
Drzwi otworzył Piechowiak. Przez
chwilę mnie nie skojarzył, ale kiedy
wymieniłem nazwisko i przesunąłem
na bruch torbę ze sprzętem, rozjaśnił
w uśmiechu i zagarnął do środka.

— Niech pan siada, redaktorze, za-
raz zagotuję wody i zaparzę kawę.
Niech się pan nie boi, robię to lepiej
od sekretarki. I pogadamy sobie, na
dzisiaj mam wszystko z głowy.

— Pan tak codziennie?

— Jak?

— No, ostatni, z posterunku.

— E, tam. Ani pierwszy, ani ostat-
ni. Nie naśladuję kolegi Scibora, który
już przed szóstą jest w biurze i rze-
czywiście wychodzi ostatni. Ja jestem
w zakładzie, kiedy mogę, i kiedy jest
to konieczne. Od godziny mi nie pla-
cą, o co to więc ma do rzeczy?

— A za co panu płacą, dyrektorze?
— powiedziałem żartobliwym tonem,
ale Piechowiak wyczuł moją intencję.

— To pytanie, jak strzał zza wa-
gła... słowo daję — roześmiał się
szczerze. — Obawiam się, że u pana
oblegi egzamin... ale wprawdzie wypijmy
po małym kieliszku koniaku, o tej po-
rze jestem już trochę skołowany.



Kiedy wspominał ciebie, to zawsze najpierw jawia mi się twoje dionie. Dionie duże, ciężkie i twarde, czerwone od odmrożeń z wieczne spleknaną skórą na palcach.

Te dionie, w których trzymałeś żniwną kosę z włożonym w zaczepy kosiska wygiętym leżącym przodem, aby koszone przez ciebie żytko na spłachetku piaszczystego pola na klinie — między sąsiedzką miedzą, a polną, krętą dróżką — ukiadało się w równy pokos, łatwy

**RYSZARD
DOROB**

DŁONIE

do rozdzielania na garście, z których potem wiazałeś ściśle sromianym powrosem grube snopy, zdzierając sobie do krwi skórę przy paznokciach.

Jawia mi się te twoje dionie, którymi gmerałeś w wyrwanej motylak sympiezi ziemni za powycinaną od starości i naporu wiatrów, prawie walącą się stodołą, szukając w niej zazwyczaj nie większych od włoskich orzechów kartofli i obrywając drobniutki z zeschłej kartoflanej naci, z przeznaczaniem dla waszej świnki, pochrząkującej dzień i noc za nieszczelnymi drzwiami waszego wspólnego pomieszkania, przesiąkniętego skłismym odorem starych łachów i świńskiego gnoju — po równo po obu stronach tych wypaczonych drzwi, oddzielających chlewik od waszego mieszkania.

Dobrze pamiętam te twoje czerwone dionie, wyrzucające z zamazanych już na kość redlin pastewne buraki dla waszej laciatej krowy, zajmującej połowę stodoły, krojone zimną od wiel-

kiego dźwięku jako przysmak i jako karma, mająca wygładzić zapadające się boki waszej żywności. I choć poganiały cię pierwsze mrozy, nigdy nie mogłeś skończyć na czas pracy w polu, bo sam byłeś jedynym jej wykonawcą i nie mogłeś liczyć na niczyją pomoc.

Sam byłeś gospodarzem, parobkiem i dziewką na tym waszym gospodarstwie od wielu już lat, od kiedy nie stało twojego ojca, to jest od owego oszronionego pierzastym szronem świtu, którego — z chudym węzłem pod pachą — ruszył żegnany waszymi łzami w stronę nieodległego lasu, zapadł w nim i już nigdy do was nie powrócił.

Od tej chwili przejąłeś i męskie gospodarzenie i babie postęgi, bo twoja matka nie ruszała się już prawie z ławy pod oknem i wyglądając przez jej jedną szybką marmotą coś niezrozumiale pod nosem od rana do wieczora. Choć i dawniej nie kwapiła się do pracy, nie przystojącej zbiedniałej wprawdzie, ale zawsze przecie szlachetnie, parę lat przed twymi narodzinami wynalezionej w dalekich stronach przez twojego ojca i sprowadzonej do ugrzej się w piaskach wioski, to jednak dawniej czasem pochępną jeszcze to czy owo. Ale od owego świtu, którego odprowadziła ostatnim spojrzeniem opuszczającego was męczyznę, który był jej mężem, a twoim ojcem, nie brała się już do żadnej pracy, zamknęła w sobie i nieobecna, próżno oczekująca latami przy oknie.

Tak więc nie nadążałeś z robotą, ale nie tylko dlatego, że musiałeś wszystko robić sam — i w domu i w obejściu, i w polu — ale również i dlatego, że później, kiedy los wszystkich się odmienił, przez wiele, wiele lat, o każdej porze roku, wyjąwszy jedynie dwa miesiące letnie, kładłeś swoje czerwone dionie na kierownicy twojego rozklekotanego i powłazanego, drutem jak pęknięty garnek roweru, aby i w upał i w śnieg, w śnieżyce i kąpiące mrozy jechać wiele kilometrów do małej stacyjki, pozostawiając swój dwukolowy pojazd pod opieką życzliwego ci zawiadowcy i dwie godziny tłum się ogłaszając, łomoczącym na złączach szyn wagonem do wojewódzkiego miasta, trzymając

otwartą książkę w podskakujących, czerwonych dionach.

W miarę lat twoja matka coraz ciszej marmotała pod oknem i coraz rzadziej dostrzegała twoją obecność. Nie dziwiła jej także twoja codzienna duża nieobecność, na którą składała się uparta jazda potępieczo gruchoczącym rowerem do kolejowej stacji, wykorzystywana na naukę jazdy pociągami, kilkugodzinny pobyt w szmerliwych salach dużego miasta, powtarzające się w rozchwierutym wagonie i nocny powrót do domu.

Nie zareagowała również na pokazane jej przez ciebie świadectwo maturalne z twoim imieniem i nazwiskiem. Prześliznęła się po nim wzrokiem i przeniosła go na małą szybką waszego okna, przez które na horyzoncie wideł było postrzępioną linię lasu.

Aż kiedyś spojrzała przez to okno po raz ostatni i oddała ją piaszczystej ziemi na cmentarnym wzgórzu, tak odległego od jej szlacheckiej, biedniutkiej wioski, o nazwie, będącej nazwiskiem prawie wszystkich jej mieszkańców. Z ziemi tej wysypałeś nieduży kopczyk, znaczony złożonymi na krzyż białymi bierwionami brzozy, gdyż pomyślałeś sobie, że jej mąż a twoj mały pamiętany ojciec też może w nieznanej okolicy leży pod takim właśnie brzozywym krzyżem, jakich wiele niedawno czasu wyrosło na naszej ziemi.

Teraz już mogłeś zostać „panem studentem”, jak ironicznie zaczął ci nazywać twój stryj, który pojawił się po latach spojrzeń na leżącego cicho w sosenowej niszce twą matką, której dawno nie widział, gdyż wołał unikać jej pogardliwych, szlacheckich spojrzeń. Strój ów słowo „pan” uznał widząc za ważniejsze od słowa „student”, gdyż ani razu nie zawiózł ci nawet mendli jak czy gomółki sera do wielkiego miasta, do którego przeniosłeś się po śmierci matki, nie podarował ci nic z tego, co rodzica ziemia, którą on zaczął uprawiać po tobie, wykorzystując nawet do tego celu miejsce po rozebranych waszych budynkach ze zmurszałego, spalonego w jedną tylko nie nabyt mroźną zimę w domowym piecu drzewa. A pozostawiona prze-

ciebie stara, laciata krowa i pochrząkująca świnka z któregoś kolejnego pokolenia waszej chlewałej nierogacizny zyskały sobie i nową mieszkanie, i towarzystwo.

Dlatego też w niedziele i dni świąteczne rozładowywałeś wagony, stojące na kolejowych bocznicach twojego miasta, aby zarobić na chleb, popijany prosto z butelki mlekiem o zupełnie innym smaku, niż mleko waszej laciater, a także aby opłacić kąt za przepięknym z dyktu, dzielony pospólnie z trzema podobnymi tobie „panami studentami”.

A mogłeś długie godziny rozładowywać te wagony, bo byłeś nawykły do ciężkiej pracy i miałeś duże, twarde i silne dionie, ciągle jeszcze czerwone od odmrożeń.

Nawet już wtedy, odpowiadając ci z rzadką w twoim kacie za przepięknym, bałem się podawania ci reki, bo widziałem, że bezwiednie ściszysz mi ją aż do bólu, który czulem potem przez kilka dni.

Choć i nie lubiłem powierzać swych nie wytrzymałych na ból palców twojej mocnej dionie, lubiłem na nią patrzeć, dziwiąc się zawsze, że można mieć dionę tak dużą, mocną i twardą, dionę tak długo czerwona od odmrożeń, bo jej przecież nie wystawiałeś jej na wiejące poleci lodowate wiatry i nie trzymałeś zniechęconej na parzącej zimnem metalowej kierownicy twojego roweru, który pewnie u stryja już dawno rozspalał się w kawałki.

I dlatego po latach, które rozdzieliły nas od siebie, przy pierwszym spotkaniu spojrzałem i ciekawością na twoje dionie, wystające z rękawów białego kitla lekarskiego. Na twoje niezawodne dionie chirurga, jak mawiali ci, któryś uratowałeś życie...

I wtedy twoje dionie — pozostając duże i silne — wydały mi się jakby inne. Przede wszystkim mniej czerwone, gdyż już nie tak raziła kontrastowo z wykruchmaloną bielą twojego lekarskiego fartucha, jak niegdyś kontrastowały z mankietami najpierw maturalnej, a potem studenckiej koszuli.

Ale to nie wszystko. Poczułem dla nich podziw i szacunek, który winienem tobie.

**TADEUSZ
PAPIER**

KARTKA Z KALENDARZA

Notatka z wizyty w Blichu, zapisana w kalendarzu z roku 1959, na swój sposób wzrusza. Bo oto przypominają się rozmowy, jakie przeprowadziliśmy z uczniami tej szkoły. Przypominają się nawet twarze. Człowiek chciałby odgadnąć, jakimi drogami potoczyły się losy naszych rozmówców. Gdzie oni teraz są, jakie stanowiska zajmują? Niektórzy uczniowie mieli zamiar studiować na wyższych uczelniach. Nie wszyscy wybierali studia związane z rolnictwem. Byli tacy, którzy chcieli kończyć Akademię Wychowania Fizycznego. Inni wybierali studia humanistyczne. Niektórzy udawali się do wojska. A byli i tacy, którzy wracali do rodzinnej wsi. Chcieli pracować w gospodarstwie. Ale jeszcze dwadzieścia lat temu na decyzjach młodych ludzi ważyły podobne motywy, jak u ich rówieśników przed wojną. „Mam liczną rodzinę” — zwierzała się jedna z uczennic — „nie mam co robić w domu”. „U nas jest dziesięć osób w domu, ojciec ma

tylko cztery hektary, więc z rachunku wynika, co mam robić ze sobą”. Inna dziewczyna mówiła: „Wprowadzenie mechanizacji do gospodarstwa uspołecznionego wymaga mniej rąk do pracy, więc rodzice mogli ze mnie zrezygnować i posłać do szkoły”. Może to zabrzmiało nieco sztywno, ale kto sobie przypomni powiedziałko naszych ojców przed wojną, że

„z rysunków chleba jeść nie będzie, a on mnie potrzebny do krów i koni”, tego nie zadziwiła wypowiedź. Jaką więc wyobraźnią sobie nasi rozmówcy? „Wiesz przyszłości — pisali uczniowie w ankiecie — „to elektryfikacja i wszystkie udogodnienia związane z kulturą życia codziennego. Aby ludzie mieli zapewnione życie kulturalne i byli odciążeni od ciężkich prac, które może wykonać maszyna”. — „W przyszłości” — zwierza się młoda dziewczyna — „pragnęłabym widzieć wieś zelektryfikowaną, gdzie po ciężkiej, wyczerpującej pracy rolnik mógłby spokojnie zasiąść przy telewizorze i uprzyjemnić sobie wolny czas. Prócz rozrywki kulturalnych moim pragnieniem jest zmechanizowanie pracy, to jest zastosowanie wszelkich maszyn do pracy”. — „Wiesz przyszłości! Wiesz, w której każdy gospodarz miałby radio, telewizor, motocykl. Chłop nie może odczuwać kompleksu niższości przed inteligentem.”

Ileż z tych wypowiedzi już się

spełniło. Dwadzieścia lat wiele zmieniło w krajobrazie fizycznym i społecznym wsi. Nie chodzi tylko o wygląd zewnętrzny rzeczy, o mury domy i bite drogi, o samochody i maszyny, telewizory i radia, ale także o to, jak zmienił się człowiek, co zmieniło się w jego duszy i postawie. Na wsi pojawiły się nowe zawody, przed wojną nie znane,

niektóre nie znane nawet przed dwudziestu laty. Marzenia o wsi dostatek i kulturalnej powiadają wyraźnie, jakie silne społeczne wpływały i wpływają na dalsze losy naszych bohaterów. Coraz częściej spotyka się młodego soltysa lub naczelnika gminy, a nawet gospodarza z dyplomem szkoły średniej lub wyższej. W dyskusjach radiowych, telewizyjnych czy prasowych młodzi ludzie ze wsi nie oddzielają spraw gospodarczych od potrzeb kulturalnych. Uporządkowanie życia gospodarczego wiąże się dla nich z rosnącymi potrzebami w zakresie kultury.

Zbliża się maj, miesiąc różnych imprez kulturalnych, spotkań pisarzy z czytelnikami. W książce „Pisarze o czytelnikach”, która ukazała się dziewięć lat temu nakładem Wydawnictwa Łódzkiego (autorem jej jest Stanisław Adamczyk), Tadeusz Nowak, jeden z naszych najwybitniejszych poetów i prozaików, zamieszcza interesujące wyznaczenie, dlaczego o poezji najchętniej rozmawia

z czytelnikiem wiejskim. Pisarz powiada: po prostu jestem stamtąd. I że życie człowieka ze wsi, jego sprawy uważa niemal za własne. „Pozatym wydaje mi się — pisze — że chłop mający do czynienia na co dzień z ziemią, ze światem roślinnym, zwierzęcym i ptasim, czujący się niemal dniem i nocą przy misterium wyrastania z ziarna spełnionej, dziesięciokrotnie kłosa, wyczuwa i chyba słuszenie, że na podobnej zasadzie rodzi się dobry wiersz, dobra powieść, dobre i piękne słowo. Sam zresztą, mając w zapleczu całą kulturę ludową z pieśnią, klechdą, rzezbą, malowaną i wycinaną, brał często udział w tworzeniu dzieła sztuki...”

Pisarz jednak się zastrzeża, że mówiąc o człowieku ze wsi, ma przede wszystkim na myśli pokolenie starsze, pamiętające jeszcze czasy, kiedy pieśń ludowa, klechda była tak potrzebna jak chleb codzienny.”

Pod tym wyznaniem można się całym sercem podpisać. Owóż to należy do przywilejów poety, że opisuje on wzruszenia, które są ukryte w naszej duszy i z tego nie zdajemy sobie sprawy, dopóki ich nie odnajdziemy w wierszu czy opowiadaniu. Dodajmy jednak, że nie samą klechdą żyje człowiek. A klechda też nasyci się coraz to nowymi znaczeniami. Bo wiesz się zmienia i człowiek na wsi także. Współczesny rolnik coraz bardziej ceni sobie więzi ekonomiczne z ziemią. Rozmowy, jakie wypadnie nam toczyć w wiejskiej bibliotece z młodymi ludźmi czy starszymi, z pewnością będą miały inny charakter niż te, które prowadziliśmy przed dwudziestu, nawet przed dziesięciu laty.

FELIETON Z PRZESZŁOŚCI

Jeszcze w czasie przygotowań wyprawy z Alfa-Centaura na niedawno odkrytą planetę Ziemię, pracownik działu kultury, Adonis Amentat, sprzeciwił się, by w skład załogi wchodziły kobiety-stewardessy. Jego doświadczenie (brał udział w niejednej wyprawie) podpowiadało mu, że kobiety, szczególnie te piękne, są niebezpieczeństwem dla męskiej społeczności, jeśli przebywają wspólnie z nimi

nie zaczął dbać o wygląd swojego skafandra, a czasem nawet wzdychać w takt melodii cybernetycznego słownika.

Po przełocie w system słoneczny wszystko się skończyło. Ad-Am szedł za E-Wą na pasku, a E-Wa rozpoczęła następny etap swojej misyjelskiej działalności — wywoływanie zardzości. I — być może — osiągnęłaby poważny sukces, bowiem zerkali na nią fryzjer,

— Ah, jakie cudol — wykrzyknęła E-Wa. — Czy to można jeść?

— Tak... Można... Być może... Lec... — wymamrotał wystraszony Ad-Am.

— Zaraz się przekonamy!

Przy pomocy ultrakrystalicznego przekładnika myśli E-Wa zdążyła zapytać pytana zwiastującego na jednej z gałęzi o rodzaj owoców.

— Jabłko! — wykrzyknęła klaszcząc w dłonie.

chcecie przenieść na nasz sterylny Alfa-Centaurus. O, nie! Ja uratuję naszą kochaną planetę. Pozostawcie tu, w ten sposób odkupując wasze winy!

Reszta była niezwykle prosta: obojgu wstrzyknięto dawki nieśmiertelności, rzucano parę drobniaków i pozostawiono na planecie w dżungli.

Galaktoplan odleciał.

— Co teraz będziemy robić? — zaczął chlupać Ad-Am.

— Nie wiem — zapłakała E-Wa.

A kiedy kobieta mówi „nie wiem”, jest to bardzo niebezpieczne.

I oto, wkrótce urodziło im się dwóch synów. Jednego nazwano Antonim Belloni (Abel), a drugiego Karolem Indyjskim (Kain).

A co było potem, możemy dowiedzieć się ze Starego Testamentu. Kain zabił Abila, by zagarnąć spadek, następnie Henoch spłodził Ireda, Ired Mehuajela, Mehuajel Mateusza — i tak dalej.

I rozbiegły się dzieci Adama i Ewy po Ziemi. I odkryli Amerykę, i wypolali setki wojen, i wypróbowali bombę atomową, i polecili w Kosmos, i zaczęli prostować za pomocą chirurgii plastyczną krzywe nosy, i wynaleźli sposób, by na nogach kobiet nie rosły włosy, a rosły na męskich czaszkach.

Ewa i Adam, otrzymawszy od Jehowy nieśmiertelność, żyją gdzieś w Brazylii. Dzieci więcej się już im nie rodzą. Arteriosklerozę osiągnął już także stópka, że nie pamiętają o zdarzeniach zachodzących na świecie. Ewa jedynie złości się na męża i wspomina lata młodości, a Adam zbiera coraz to nowe liście winorośli na nowy dla siebie strój i czeka, kiedy będzie mógł przejść na emeryturę.

Przekład: EUGENIUSZ IWANICKI

**ANTON
DNEW**

PRAWDA o pierwszym CZŁOWIEKU

ponad dwa lata świetlne. Jednakże, nie bacząc na jego protesty, Elen Wartburg mimo wszystko została uliczoną w skład załogi. Otrzymała skierowanie służbowe, przeszła konieczny kosmiczny trening i zaczęła ustawiać kieliszki i filiżanki w malutkim barku statku międzyplanetarnego, a także układać gazety i czasopisma, jakie winny się ukazać w przyszłym stuleciu.

Już pierwszego świetlnego roku potwierdziły się obawy pracownika działu kultury. Kobiety jad zaczęły działać. Przy tym, z niewyjaśnionych przyczyn, kobieta skierowała swoje zatrute strzały właśnie w niego, gdyż liczyła chyba, że to on jest najtwardszy ze wszystkich. W owym czasie, dla oszczędności powietrza, załoga zaczęła nazywać siebie za pomocą skrótów i Adonis Amentat zaczął się nazywać Ad-Am a Elen Wartburg — E-Wa.

Stewardessa wykazała wyjątkową skłonność do pracy kulturalnej, rozlewała koncentrat kawy, podając ją Ad-Amowi, a ten ostatni usil-

kucharz I kategorii oraz kierownik kółka dramatycznego. Ale na to zabrakło czasu: galaktoplan wylądował na Ziemi.

Rozpoczęła się zwyczajna doświadczalna praca. Obserwowano atmosferę, wybuchy wulkanów, opisywano czaszki mamutów, wypowiadać no liczne prognozy co do przyszłych losów dzikiej planety, pozostawiono wyraźne i zrozumiałe znaki — w Baalbek, na pustyni Gobi i we wsi Dolne Komarce, aby nawet za setki lat można było się dowiedzieć kto, kiedy i po co tu przylatywał. Wyprawa już szykowała się do odlotu, kiedy Ad-Am i E-Wa popełnili błąd nie do naprawienia.

Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało zwyczajnie: w czasie spaceru robionego czasem z nudy, czasem — by poobserwować miłoścy jaskiniowych niedźwiedzi, Ad-Am i E-Wa zabłądzili w dziewiczym lesie. Długo błądzili, przewracali się w wysokiej trawie, gdy nagle znaleźli się pod niezwykle pięknym drzewem obasypanym owocami.

nie. — Jaka śmieszna nazwa! Tylko węże mogą coś takiego wymyślić!

Zerwała jabłko i ugryzła kawałek. Jej oczy się zwięzły od zachwyty, policzki poróżnowały, a nos wydał taki melodyjny dźwięk, że Ad-Am nie wytrzymał i powiedział:

— Daj mi, spróbuję.

Oboje Alfa-Centurianie najedli się jabłek do syta, i dopiero, kiedy rozbolaty ich żołądki, zrozumieli, jaki popełnili błąd. Przecież ich organizmy były przyzwyczajone do odżywczych pigulek!

Takich nieżytych żołądka dziewczęta ziemia dotąd nie widziała!

Z trudem, na czworakach, dopelzli mimo wszystko do galaktoplanu. I dopiero tam, leżąc płakiem na ziemi, obok wjazdu przynajmniej do swojego przestępstwa. Załogę ogarnęła panika. Dowódca ekspedycji, Jehudij Owanesjan (Jehowa) wykrzyknął:

— Coście uczynili, grzesznicy! Teraz wasze wątroby są pełne nieznanych bakterii, które

W SZPITALU PRZEMIENIENIA

Film „Szpital Przemienienia” Edwarda Zebrowskiego, zrealizowany na motywach powieści Stanisława Lema, jest dziełem, które nie pozwala wypowiadać jednoznacznych opinii. Odbiorca ma świadomość, że spotkał się z utworem wybitnym któregoś sensu, jednak nie dając się rozpoznać do końca, musi budzić złozone, a czasem i kontrowersyjne wrażenia i refleksje. Przyczyną tej sytuacji szukać zapewne należy wielokierunkowo.

Pierwsza pozostanie zapewne fakt dystansu lat, które dzielą nas nie tyle od czasów ostatniej wojny i okupacji, co pierwszej reakcji na to najsłabsze, nielże doświadczenie ludzkości. Wydaje się bowiem, że film Edwarda Zebrowskiego mógł powstać w czasie, gdy doświadczenie to wyrażał Tadeusz Borowski, który fascyzm, a zwłaszcza tę jego realizację, jaką był obóz koncentracyjny, rozpatrywał w szeroko pojętych ramach współczesnej historii człowieka i traktował jako wynik głębokiego kryzysu europejskiej kultury. Wybór przez Edwarda Zebrowskiego miejsca akcji filmu i związanego z nim środowiska wrażenie to potęguje. Ukazany w filmie szpital dla chorych psychicznie, lekarze i ich pomocnicy, wydają się być także świadectwem tego kryzysu, co musi budzić pewien, wewnętrzny, moralny sprzeciw, tym bardziej, że właśnie ten szpital otacza noc okupacji, niosąca z sobą to wszystko, co ukazywało tragiczną historię Tadeusza Borowskiego. Okupacja ta, uosobiona w mundurach SS wkracza na teren szpitala, w trakcie akcji filmu trwającej rok, zaledwie kilka razy, wędzając po raz ostatni w finale, by dokonać hekatombi obejmującej zarówno chorych jak i lekarzy.

Pozostaje dręczące pytanie, czy wszystko to co w czasie tego roku ma miejsce we wnętrzu szpitala, to wynik presji owej zewnętrzności, czy też bez względu na nią, działoby się to, co się dzieje? Trudno na to pytanie odpowiedzieć, bo nie pozwala na to świat ukazany w filmie Zebrowskiego, przedstawiany jako struktura modelowa, na której materii dokonuje się czystej wiskiekcji postaw ludzkich. I to jest druga przyczyna tak kontrowersyjnych wrażeń i refleksji wywołanych z tego filmu.

Prawda jest, że trudno uwolnić się od myśli kłopotliwych zbrodni doktora Kautersa z jego zawodowymi kolegami, działającymi w obozach koncentracyjnych, a świadomość i postawy doktora Rygielara z ideologią faszystowskiej proweniencji. Odeście doktora Marglewskiego, nie jest wyborem, lecz ichoraliwa dezercja, niedopowiedziany życiorys doktor Nosilewskiej wprowadza w konteksty wojny, a przez dyrektora szpitala przemawia doświadczenie tego, czym jest fascyzm. Wszystko to prawda, jednocześnie jednak tak daleko posunięte w filmie Zebrowskiego wyprzedzanie obrazu środowiska z tą historią, jakie w tym filmie dostarczamy sprawiła, że mamy prawo przypuszczać, iż jest to film o medycynie, a ściślej o psychiatrii, tej tej dyscyplinie, której metody do dziś stanowią przedmiot dyskusji wykraczających poza ścisłe specjalistyczne i medyczne rozważania. Uprawnia nas do myślenia, że jest to film o odpowiedzialności lekarza i naukowca oraz jego prawach i ich granicach, fakt, że w problemie te wprowadza nas postać głównego bohatera filmu, Stefana. Jego doświadczenia w kontakcie z chorymi i kolegami — lekarzami mają przede wszystkim charakter zawodowej iniekcji. Stefan, zgodnie ze scenariuszem filmu, lecz nie z powieścią Stanisława Lema, nie kontaktuje się ze światem zewnętrznym. Jego poznanie dotyczy tylko świata szpitala, jego postawę jako lekarza i jego moralne wybory określa zatem przede wszystkim doświadczenie i chorymi. Nawet jego ostatnia decyzja — próba ucieczki z chorym, — to akt ostatecznej powinności lekarza, który już nie więcej uczynić nie może.

Ta sfera refleksji, która w filmie Zebrowskiego odnosi się do medycyny, potęgowana dodatkowo dramatycznością, a nawet drastycznością tematu psychiatrii, nie wytrzymuje jednak próby zderzenia z refleksją, która przynosi czas ciągle przecież obecny i ujawniony w finale filmu wizja na miarę Apokalipsy, w której ludzie w mundurach SS dokonują masowego mord na chorych i na lekarzach. Ten finał prowadzi nas ku granicy absurdu ludzkiego istnienia, w którym kryterium zdrowia i choroby czy kryterium dobro i zło nie ma już żadnego znaczenia.

Edward Zebrowski miał prawo taką właśnie wizję przywołać, bo uprawniał go do tego doświadczenie ostatniej wojny. To samo doświadczenie sprawia jednak, że z takim oporem przyjmujemy współistnienie w tym filmie dwóch wielkich tematów, które w jakiś sposób nawzajem się deformują.

Przy wszystkich tych wątpliwościach, rozróżniamy intelektualnych i moralnych, które film Edwarda Zebrowskiego wywołuje, „Szpital Przemienienia” pozostaje dziełem wybitnym. Trzeba właściwie powiedzieć odwrotnie: tej dziełem znaczącym właśnie dzięki temu, że wywołuje w nas tyle rozterek, że zmusza do owej reakcji intelektualnej i moralnej.

EWA NURCZYŃSKA

Pojawienie się antologii poezji białoruskiej w serii II Biblioteki Narodowej w wyborze i opracowaniu Jana Huszczy oraz ze wstępem Aleksandra Barszczewskiego należy uznać za wydarzenie doniosłe. Dotychczas brakowało w slawicach tej zasłużonej dla naszej kultury oficyny wydawniczej pozycji poświęconej literaturze białoruskiej. Staje bowiem ta antologia obok wyborów wierszy Aleksandra Puszkina, Michała Lermontowa, Mikolaja Niekrasowa czy Tarasa Szewczenki, dokonanych przez naszych czołowych rusycystów (Marian Jakóbiec, Wiktor Jakubowski, Ryszard Łużyński, Jan Orłowski), w rzędzie przedsięwzięć translatorsko-edytorskich białorusistów jako najobfitsze kompendium wiedzy o kulturze narodu, z którym Polskę łączy ścisłe więzi historyczne oraz obecna współpraca.

Mają, jak dotąd, w porównaniu z badaniami nad literaturą rosyjską, ukraińską i litewską (porównajmy chociażby syntetyczne ich ujęcia w postaci podręcznika uniwersyteckiego historii literatury rosyjskiej PWN pod redakcją Mariana Jakóbca, tegoż autora wraz z Tatianą Holyńską-Baranową — literaturę ukraińską Zygmunta Stoberskiego zarys historii literatury litewskiej) pisaliśmy po roku 1945 o Białorusi, czy tłumaczyliśmy z białoruskiego. Pierwsza polska szkiełowa synteza całej literatury białoruskiej od folkloru do czasów najnowszych ukaże się dopiero teraz (w tomie III Dziejów literatur europejskich pod redakcją Władysława Floryana, staraniem PWN).

Białorusiści zajmowali się zawsze u nas krąg stosunkowo wąski entuzjastów, względnie uczonych o specjalnościach pokrewnych lub szerszych. Mieliśmy zbieraczy ustnej poezji Białorusinów (jak Jan Czezoł, Jan Karłowicz, Michał Fedorowski, czy też interpretatorów z etnograficznego punktu widzenia jak Kazimierz Moszyński). W okresie międzywojennym poruszał problematykę kultury białoruskiej polihistor-slawista Aleksander Brückner (już w roku 1918 w skłucie pt. Z niwy białoruskiej). Pierwszą polską próbą całościowego ujęcia dziejów literatury białoruskiej była praca Bogdana Żyranika pt. Zarys literatury białoruskiej. Warszawa 1921. Objęła czasy od Skaryy do Kupaly i Bahdanowicza. Druga wyszła spod pióra Józefa Gołabka (serbo-kroatysty, autora książki o Wincentym Duninie-Marcinkiewiczu jako poecie polsko-białoruskim). Był to szkic pt. Literatura białoruska, umieszczony w Wielkiej Literaturze Powszechnej pod redakcją Stanisława Lema,

TELESFOR POŹNIAK

POLSKA ANTOLOGIA POEZJI BIAŁORUSKIEJ

której towarzyszyła skromniutka chrestomatia tekstów białoruskich (1933).

Obecnie skrypt z omawianego zakresu dla potrzeb dydaktycznych Uniwersytetu Warszawskiego przygotowuje Aleksander Barszczewski. Ukazała się część I — Folklor. Cykl szkiców historyczno-literackich tego autora zamieszczał niedawno 47-godnik białostocki „Niwa”. Edycję podręcznika akademickiego, obszernie ujmującego zagadnienie, planuje Pracownia Literatury Wschodniosłowiańskiej Instytutu Słowianoznawstwa PAN przy ścisłej współpracy z Instytutem Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego (zespół autorów: Franciszek Sielicki, Bazyli Białokozowicz, Włodzimierz Stochel, Telesfor Poźniak). Wyniki wstępne tych zamierzeń naukowych publikowane są w postaci rozpraw i artykułów w kolejnych numerach kwartalnika „Slavia Orientalis” i tomach serii „Studia Polono-Slavica Orientalia. Acta Litteraria”.

Równocześnie aktywnością edytorsko-przekładową odznacza się grono literatów, poetów, tłumaczy skupionych wokół Wydawnictwa Łódzkiego. Poszerzając to, co zapoczątkowali m.in. Jerzy Putrament, K.A. Jaworski, Stanisław Furmanik i inni, rozwinęli działalność na omawianej niwie, której może im pozażdrościć niejedną naszą instytucję naukowo-badawczą, Jan Huszcza, Tadeusz Chrościelewski, Igor Sikirycki, Maciej Józef Kononowicz, J. Litwinuk — twórcy o wyraźnie ukształtowanych osobowościach artystycznych i szerokich horyzontach kulturalnych — wyspecjalizowali się nie tylko w działalności przekładowej z literatury białoruskiej. Znani są i cenieni zarówno w kraju jak też na Białorusi Radzieckiej. Oni to właśnie nawiązali ścisłą współpracę ze środowiskiem mińskim i ogólnobiałoruskim. Dzięki niej zawiązały się piękne inicjatywy wspólne, na prawach wzajemności. Dzięki nim białoruskie prace polonistyczne czy dotyczące powiadały wzajemny białorusko-polskich (Adama Maldzisa, Sclapana Aleksandrowicza, Uładzimiru Kazbiaruka, Hapawej i innych) znajdują piękne uzupełnienie w postaci specjalnych publikacji przekładów z poezji polskiej (znany tom poświęcony poezji rewolucyjnej Łodzi), nie mówiąc już o tradycyjnej atencji do literatury polskiej, którą żywią poeci białoruscy, ciągle tłumaczący poetów polskich „we własnym zakresie” (przede wszystkim Maksim Tank).

W omawianym tomie, owe dwie linie polskiej białorusistyki — historyczno-literackie badania oraz praktyka tłumacka — szczególnie się zbiegły. Jest to nie tylko zasługa popularno-naukowego wydawnictwa przedsięwzięcia, które, jak wiadomo, z zasady do owego połączenia zmierza, lecz konkretnego pomysłu, koncepcji antologii. Aleksander Barszczewski napisał przejrzyście, kompetentnie i świeżo pod względem interpretacyjnym, wstęp. Jan Huszcza zapatrzył utwory komentarzami i syntetycznymi biogramami, wprowadzającymi doskonałe czytelnika polskiego w realia życia i kultury białoruskiej. Oczywiście, uczynili to, wykorzystując do maksimum te możliwości, które dają dyktat zasady osolniskiej — uwzględniania tylko poetów zmarłych. W wypadku okresów odległych nie miało to — co jest zrozumiałe — żadnego znacze-

nia. Twórczość natomiast autorów współczesnych, często „żywych klasyków”, została, przez ten dyktat, z konieczności, pominięta (z jednym, chlubnym, wyjątkiem).

Barszczewski, dając zarys białoruskiej poezji pisanej na tle dramatycznej historii kraju, nie omija żadnego praktycznie zjawiska godnego uwagi — od wspólnoty kijowskiej, wieku XVI, czasów Simaona Półockiego (Sitnianowicza, nie zaś — Sitniakowicza, s. III) do okresu „Naszej Niwy” i czasów współczesnych. Pamięta przy tym słusznie o twórczości najciekawszych poetów zachodniobiałoruskich (np. Kazimir Swajak).

Niestety, Barszczewski, dostosowując się do założeń edytorskich i zawartości wyboru w sposób zbyt zdyscyplinowany, nie ośmiela się dokonać ekskursu historyczno-literackiego na teren okresów tak ciekawych, chociaż złożonych, jak lata trzydzieste, okresu wojny 1941—1945 oraz dziesięciolecie powojennych. Próżno by więc szukać we wstępie chociażby zdania o Piatusiu Brouce, ładnym poecie Białorusi, Arkadiuszu Kuleszowie, szczytującym się również tym mianem, czy Pimienie Panczenie. Są oni zaliczani do grona klasyków w każdym podręczniku radzieckiej literatury białoruskiej. Zabrakło też nazwiska utalentowanego współczesnego liryków, jak chociażby Ryhor Baradulin, Daputa Biezel-Zachnieta, Maksim Łużanin A. Wiarcinski, Jeudakija Łoś. Tym bardziej, że w ich twórczości znaleźć można niejedną serdeczny motyw polski. Nowoczesna poezja białoruska, nasycona refleksją filozoficzno-moralną, eksperymentatorską, oryginalną, reprezentuje przede wszystkim Maksim Tank, przedstawiony w sposób zwięzły lecz informacyjnie wystarczająco kompletny. Dobrze, że wydawca zdecydował się na umieszczenie w zbiorze sylwetki tego „żywego klasyka”, tak blisko związanego z naszą kulturą, z polską awangardą poetycką, z międzywojenną lewicową młodzieżą literacką wileńską, którego rolę we współczesnym życiu społeczno-kulturalnym Białorusi trudno przecenić. Podobnie jak Maksym Ryłski na Ukrainie Radzieckiej tak autor „Naroczy” wziął na siebie rolę ambasadora polskiej literatury nad Niemnem, Swisłoczą i Wilną. W ten sposób obraz dzisiejszej poezji białoruskiej stał się bardziej pełny. Tym bardziej, że towarzyszą w antologii Tankowi: Aleś Hurlo, Michał Czarot, Uładzimir Żyła, Uładzimir Dubouka, Jazep Puszcza, Pauluk Trus, Piotr Hlebka, Siarhiej Krywiec, Zmitrok Astapienka, Mikolaj Surnaczou, Alaksiej



Alaksiej Paszkiewicz

tościowsze tematycznie i warsztatowo. Słusznie pominięto naśladowcze lub zbyt publicystyczne, czyniąc tylko znamienity wyjątek dla wiersza-uloiki antyhitlerowskiej, napisanego w Moskwie — „Na zwierza-Hitlera”. Podobnie postąpiono w wypadku Kolasa.

Zalować jedynie wypada, że zabrakło w antologii miejsca dla epilogu poematu „Chata rybaka” — „Do Polaków” z 1947 r., tchnącego gorącą sympatią do „Braci rodzonych i sąsiadów”, do „wolnego, nowego polskiego ludu”. Maksim Bahdanowicz przedstawiony został czytelnikowi polskiemu w całej stylistycznej różnorodności swych gatunkowo-formalnych poszukiwań. Wierszom „na białoruską modę” towarzyszą tu przykłady trioletów, sonetów, listów poetyckich, naśladowstw z Verlaine’a, a nawet rzadki, w porównaniu chociażby z Kupalą, wypadek wykorzystania przez Bahdanowicza motywu (Rozkopana mogiła) do „wolnego, nowego polskiego ludu”. Królują wśród nich „Tkacki słucki” i „Pogoń” w idealnej wręcz wersji polskiej wykonanej przez Tadeusza Chrościelewskiego.

W sumie, omawiana antologia jest zjawiskiem bardzo cennym z kilku powodów. Znakomicie uzupełnia inne nasze przedsięwzięcia edytorskie, podjęte dzięki wysiłkowi Jana Huszczy, jak wybór opowiadań białoruskich (Łódź, 1971), U. Karatkiwicz Biełk i złoto dnia (Łódź, 1976), M. Bahdanowicza, Poezje wybrane (Łódź, 1973), Bogdana Żyranika, Igora Sikiryckiego (Wiersze wybrane Tanki, Łódź 1974), Ziemowita Fedekięgo, Jana Mielkowskiego, Tadeusza Mongirda, Waldemara Kwiłczy czy Eugeniusza Kabatca (przekład powieści Ludzie na błotach Iwana Mieleza, Warszawa 1968). Poszerza naszą wiedzę o zaplecze kulturowym takich zjawisk organicznie się wiążących z rozwojem współczesnej literatury polskiej, jak twórczość Haliny Auderskiej, Redlińskiej, Sokrata Janowicza, A. Barskiego. Nie mówiąc już o przeszłości, z którą teraz nie ma już spłoty polsko-wschodniosłowiańskiego. Od czasów Wielkiego Księstwa Litewskiego, kiedy to białoruszczyzna była językiem oficjalnym korespondencji królów polskich z kancelarią wielkolekszą, czy z magnatami litewskimi — do Mickiewiczowskich zachwytów nad ludem białoruskim i jego językiem w College de France oraz pozytywistycznych założeń nad jego dolą Orzeszkowej, do gawęd Melchiora Wańkowicza, liryków Krystyny Krahelskiej, Białorusi, jako owa — jak w pięknej inwekcji powiada współczesny nasz pisarz — „Dobro-rus”, niezmiennie towarzyszy świadomości polskiej. Za ożywienie tej świadomości, dla potrzeb nade wszystko naszych, powszednich, dzisiejszych, kreśliły wyrazy podziękowania.

* Antologia poezji białoruskiej. Wybór i opracowanie — Jan Huszcza, wstęp — Aleksander Barszczewski. Wrocław 1978.



Janka Kupala (Iwan Łuciewicz)

IRONIA CONTRA BANAL

Tadeusz Giegiel znany jest przede wszystkim jako poeta i satyryk, choć z nie mniejszą pasją uprawia reportaż i prozę. Do tej ostatniej dochodził stopniowo — poprzez krótkie, a nawet bardzo krótkie niekiedy, formy. Złożyły się one na tom pod symbolicznym tytułem „Gorzkie wody” (1987). Część zawartych w nim miniatur powstała z inspiracji chłopięco-młodzieńczej pamięci, wracającej w sposób przeważnie niekontrolowany w czasie pogardy, nie umiającej jeszcze po latach pozbyć się gorczy okupacyjnej młodości. Pozostałe wynikają z obserwacji obyczajowych, z chęci podnoszenia do rangi symbolu zdarzeń ledwie dostrzeganych, ulotnych jak życie samo. Cechę wspólną stanowi tu refleksyjność, skłonność do moralistycznych uogólnień. Giegiel potrafi poprzez zwyczajne, codzienne realia wiele powiedzieć o takich sprawach, jak wina i kara, krzywda i zadośćuczynienie, miłość i niespełnienie.

Wspominam o „Gorzkich wodach”, ponieważ wybrane z tego tomu miniatury uzupełniają powieść (właściwie mikropowieść, albo może raczej szkic do powieści) o człowieku na rozdwoju. Zawiodła go tam historia najbanalniejsza z banalnych — „nielegalna”, burzliwa miłość do wstępującej dopiero w życie dziewczyny. Banalny jest dylemat, przed jakim staje Stefan: co wybrać, czy względą lojalność wobec niekochanej żony, z którą łączy go wspólnota majątkowa i dziecko, czy zawrzeć gwałtownemu uczuciu? I jak większość mężczyzn (tych z modnej przed kilku laty piosenki „Gdzie ci mężczyźni”) nie potrafi podjąć decyzji. Sprawę rozwiązują kobiety, a właściwie rozwija się sama: młoda dziewczyna znajduje po prostu innego partnera.

W takiej sytuacji autor nie stara się nawet ukrywać banalu, wręcz przeciwnie — eksponuje go, gdzie tylko się da. Zresztą już w pierwszych zdaniach powiada wprost, że „jest to historia banalna. Taka, jakich było tysiące. Jeśli cokolwiek go usprawiedliwia, to tylko to, że przeżył ją inaczej niż jego poprzednicy. Może to zresztą złudzenie, może tak mu się tylko wydaje. Ale jeśli nawet tak jest, nie jest przecież w tym złudzeniu odosobniony”. I rzeczywiście: przez cały czas narracji pogłębia się rozdźwięk między wiarą bohatera w odrębność, odmiennosc własnych przeżyć, a konsekwentnym stanowiskiem narratora, bezlitośnie obnażającego wszelki banal, jakkolwiek wyuczony się, że narrator często staje po stronie nieszczęśliwych kochanków, że chciałby, aby ta spóźniona miłość (może jednak raczej namiętność) mogła się ziścić.

Podobnie jak Stefan wobec żony, tak i narrator nie jest całkowicie lojalny wobec swego bohatera. Niekiedy traktuje go zupełnie serio, innym razem zdaje się robić oko do czytelnika, gdy Stefan postępuje jak pierwszy lepszy szubak. Spóźnione opętanie picia odmienną wyzwałą w bohaterze „Człowieka na peronie” grę wyobraźni. Nie umie, nie chce ocenić sytuacji tak, jakby na to zasługiwała. Staje się pielegniarzem własnych złudzeń. Pryskają one w końcu jak bańka mydlana. Pozostają jedynie wspomnienia, zwrócone listy miłosne oraz kieszonki weinbrandu. Mężczyzna opuści peron nie jako samobójca rzucający się pod pociąg, lecz wygodnie usadowiony w przytulnym wagonie. I życie potoczy się dalej.

Stefan jest typowym konformistą, nawet kunkiatorem. Przekracza normy obyczajowe, lecz na doraźny, można powiedzieć wygodny dla siebie użytek. Gdy przychodzi chwila zastanowienia — waha się, miejsce namiętności zajmuje obawa: „Jaka mam pewność, że ten ogień nie rozleźni się w codziennym życiu na małe płomyki, aż któregoś dnia wygaśnie? Że to, co mnie urzeka, nie obróci się przeciwko mnie?” Dlatego przegrzywa. Prawdziwa miłość nie znosi konformizmu.

Istotną rolę w mikropowieści Tadeusza Giegiela odgrywa ironia. Gdyby utwór ten przyjmować literalnie — byłaby to lektura niezbyt znośna. Dopiero ironia, umiejętnie skrywana kpina, nadaje „Człowiekowi na peronie” sens.

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

Tadeusz Giegiel, Człowiek na peronie, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1979, s. 152, nakład 10 000 + 330 egz., cena zł 14.—

Decyzję, której treść zawiera się w tytule, podejmam wraz z przyjęciem zaproszenia na przedstawienie z udziałem studentów Wydziału Wokalno-Aktorskiego Łódzkiej uczelni muzycznej. Jeśli studentci przygotowali przedstawienie wspólnie z Teatrem Muzycznym i zrealizowali je jako jedną z pozycji planu repertuarowego tej sceny, to znaczy że rzecz ma osiągnąć profesjonalny, wysoki poziom, przybrać atrakcyjny kształt sceniczny, dowiedzieć umiejętności i talentu tych, którym dyplomy Łódzkiej uczelni muzycznej najdalej za kilka miesięcy otworzą podwoje znakomitych młodej kadry scen muzycznych w całym kraju.

Połączone siły Wydziału Aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej (solicji) i Teatru Muzycznego (orkiestra, balet, chóru), zaprezentowały nam „Popioch wśród dzieł” Jurija Milutina. Jedną z pierwszych operetek radzieckiego kompozytora stanowi znakomity materiał na ciekawe przedstawienie: nieskomplikowana, a pełna humoru, urzeka bezpretensjonalnością i pogodą. Jest interesująca muzycznie, ma przy tym zgrabne pełne niewymuszonego wdzięku libretto.

Ale to cechy, których wspólnym mianownikiem jest szlachetna prostota, nie zwalniają ani realizatorów ani wykonawców z obowiązku potraktowania utworu Milutina z całą powagą i rzetelnością. Łatwość może okazać się pozorna, jeśli twórcy pozwolą uwieść się jej wychodząc z założenia, że rzecz „obroni” się sama. Oca zresztą z owej możliwości „samobrony” w „Popiochu wśród dzieł” rzeczywiście jest, bowiem podobnie jak czynią to twórcy dzieł dramatycznych, którzy w tekst swoich sztuk wpisują zazwyczaj własną wizję ich scenicznego realizacji, tak i Jurij Milutin zawarł już w samej partyturze wiele cennych wskazówek inscenizacyjnych. Dowcipne rozwiązania melodyczne w wielu momentach wręcz sugerują rysunek sytuacji. Wystarczyłyby zatem precyzyjne zrealizować owe sugestie dotyczące zwła-

szcza tempa poszczególnych scen, a sukces byłby pewny.

Włodzimierz Traczewski, reżyser spektaklu, nie wykorzystał w pełni tej szansy, szczodra ręką dając mu przez kompozytora. Kilka tylko fragmentów (wjeżdżenie Bojara, nauka piosenki, scena „prześlady” dziewcząt) mogło podobać się naprawdę. Obok tych, wynikających jakby z ducha muzyki i bajkowej opowieści tkwiącej u źródeł libretta scen rzeczywiste, które wręcz zwalniały rytm akcji i osłabiały swoją rozwickością uwagę widza, sprawiając że spektakl w ca-

łości wydał się za długi. Błędy reżyserskie, aż nadto widoczne, kilka rozwiązań sytuacyjnych użyczyły nieprzeznaczonych do nich środków wyrazu. Takie odnośne wrażenie, obserwując jak ile się w nich czuli, jak za wszelką cenę i z dużym wysiłkiem starali się przebić przez ich nienaturalność. Przedstawienie ma bardzo nierówne tempo, chwilaami jest wręcz nudzące. Wina za to należy obarczyć także Tadeusza Błaszczyka, w którego rękach spoczywało kierownictwo muzyczne, a który również nie dość sprawnie poprowadził w dniu premiery prasowej orkiestrę, będącą znowu, jak się zdaje, w niezbyt dobrej formie. Muzyce Milutina zawsze bardzo wyraźnie stylizowanej na folklor rosyjski i zawierającej różnorodne jego elementy, zabrakło

brzmienia i dykcji, wszystkich bez wyjątku solistów. Spore zdumienie wzbudził we mnie fakt ich zupełnej nieumiejętności śpiewu zespołowego. Duży, tercety i kwartety budzą największe wątpliwości. Z przyczyną, a w kilku przypadkach wręcz bardzo dobry, poziom zaprezentowanego aktorstwa.

W dużej grupie solistów ładnie zaprezentowali się: Andrzej Dudycz (w roli wojewody), obdarzona dźwięcznym sopranem, duża uroda i wdziękiem Ewa Skolucka (Marfa), Mirosława Kacprzak (niania) i Krystyna Jasińska (wdowa). Zabawna parę stworzyli Ireneusz Pietrasz jako błazen Tymofiej i Zofia Mee w roli jego energicznej i bardzo zadowolonej żony. Bohaterem wieczoru, słusznie nagro-

dzonym najgorętszymi oklaskami, był Marian Miskiewicz w roli starego, kompletnie już zdechniałego, a przy tym przytłoczonego niezwykle ważną misją (znalezienie żony dla cara) Bojara. Prawdziwy talent aktorski, duże zdolności charakterystyczne pozwoliły sprostać trudnemu zadaniu i myśle, że są dla młodego wykonawcy dobrą wróżbą i solidnym kapitałem na przyszłość. Publiczność podobno się także czterech szlachciców „abiegających o to, by stać się teściem” cara. Najmniej uznania wzbudził Andrzej Szewczyk w roli diaka Tuk-sakowa: niewielki, matowo brzmiały głos, wyraźne podknięcia intonacyjne, nazbyt częste rozmiękanie się z orkiestrą i dziwna u młodego człowieka i aktora odciekałość fizyczna — wszystko to sprawiło, iż z trudem wierzyliśmy, że tak szybko wzbudził płomień ku kreowanej przez siebie postaci uczucie ślicznej Marfy. W drugiej części przedstawienia udało się mu rozwiązać nieco nasze wątpliwości i obudzić nadzieję, że gruba warstwa premierowej tremy krwje jakiś kapitał, który być może będzie kiedyś procentował odpowiednio do zainwestowanej weni jeszcze pracy.

Do niej zresztą gorąco i najchętniej zachęcam wszystkich wykonawców tego przedstawienia. Najmłodszy z nich też wiedzą już zapewne, jak trudno wybrać sobie zawód. Praca jest w nim jedyną gwarancją powodzenia.

BEZ TARYFY ULGOWEJ

W dużej grupie solistów ładnie zaprezentowali się: Andrzej Dudycz (w roli wojewody), obdarzona dźwięcznym sopranem, duża uroda i wdziękiem Ewa Skolucka (Marfa), Mirosława Kacprzak (niania) i Krystyna Jasińska (wdowa). Zabawna parę stworzyli Ireneusz Pietrasz jako błazen Tymofiej i Zofia Mee w roli jego energicznej i bardzo zadowolonej żony. Bohaterem wieczoru, słusznie nagro-

EWA PANKIEWICZ

Jurij Milutin — „Popioch wśród dzieł”, libretto — Michaił Tipot i Borys Gajperin, preklad Mirosław Lebkowski i Stanisław Werner, reżyseria i choreografia: Włodzimierz Traczewski, kierownictwo muzyczne: Tadeusz Błaszczyk, scenografia: Anna Bobrowska-Eklert, kierownictwo chóru: Roman Panfili, premiera w Teatrze Muzycznym, 11 kwietnia 1979 r.

Rembrandt van Rijn zdobył sławę dzięki obrazowi zwanemu „Anatomia”, lub „Lekcja anatomii” doktora Tulpa. Nad zwłokami, na których dokonuje się sekcji, malował sportretował profesora Mikolaja Tulpa w otoczeniu siedmiu członków amsterdamskiej gildii chirurgów. Ten wykonany według ówczesnej mody zbiorowy portret posiada dzięki artyście pewien sens symboliczny, jest manifestacją ludzkich poszukiwań, prób zgłębienia zagadek życia i śmierci.

Krzysztof Zanussi swój nakręcony „dla programu ZRD zachodnioludzieckiej telewizji” film „Lekcja anatomii” rozpoczyna re-produkcją słynnego obrazu Rembrandta, po czym filmuje współczesną lekcję anatomii w jednej z klinik medycznych RFN. Ten zabieg, pozornie niewinny, ma jednak sens przewrotny. O le „Lekcja anatomii” Rembrandta była swoistą apoteozą badań naukowych, które zyskiwały swobodę po okresie zakazów i średniowiecznego obskurantyzmu, o tyle „Lekcja anatomii” Zanussiego stanowić ma ostrzeżenie.

Tak się składa, że wśród studentów niemieckich uczestniczących w sekcji anatomicznej znajduje się młody Chiliczek, który przed opuszczeniem kraju był więziony i torturowany przez policję Pinocheta. Obecność jego budzi w niemieckich rówieśnikach

ciekawość. Jak to jest z poddawaniem człowieka torturom? Co odczuwa taka ofiara okrucieństwa? W jakim stopniu rozwój wiedzy ludzkiej może być wykorzystany dla skuteczniejszego łamania oporu jednostki, wydobycia z niej pożądanych przez o-prawców zeznań?

Film Zanussiego, choć do

Reminiscencje młodego Chiliczka z okresu karni, jaką on, jego dziewczyna Lucia i inni, więźniowie przeżywali w więzieniach Pinocheta, są wstrząsające. Dla wydobycia zeznań topiono ich w wannie, bił, poddawano działaniu prądu elektrycznego o napięciu na pograniczu ludzkiej wytrzymałości. To bu-

chirurgi. Z wyjaśnień ich wynika jasno, że postęp wiedzy pozwala zrezygnować z fizycznych tortur podczas przesłuchania. Bicie, zaniżanie w wodzie, czy poddawanie działaniu prądu, to wszystko okazuje się przetrzymaniem, zbędnym wysiłkiem dla potencjalnych oprawców. Ss-man przyszłości — gdyby

logicznego ujawnia swoją tajemnicę przeprowadzającemu badanie.

Profesorowie wprowadzają nas w arkana wiedzy o tego rodzaju środkach zastrzegają się, że nie mogą one być użyte przeciw człowiekowi, wbrew jego woli, gdyż prowadziłoby to do ubezwłasnowolnienia, do możliwości arbitralnego wtrącenia w życie wewnętrzne jednostki, do podporządkowania jej temu, kto będzie w posiadaniu tych środków. I dopiero ujawnienie tych potencjalnych możliwości budzi grozę. Cóż nam po zastrzeżeniach czynionych przez naukowców? Doktor Tulp badał anatomię człowieka nie po to, by z wiedzy jego korzystać gestapowcy w obozach koncentracyjnych, a przeciwnie...

Wymowa beznamiętnego pozornie filmu Zanussiego jest wstrząsająca. Ludzie ludzom są w stanie wydrzeć już dziś każdą tajemnicę. Jaka przyszłość szykowałaby się światu, gdyby badania, o których mowa w filmie, przechwyliły czynnik zbrodniczy i wykorzystali w celu ujarzmienia człowieka?

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

PO CO UCZYMY SIĘ ANATOMII?

pewnego stopnia sfabularyzowany, zrobiony jest w konwencji wykładu popularyzacyjno-naukowego. Student niemiecki kierują się przede wszystkim ciekawością. Chcąc lepiej sobie odpowiedzieć na dręczące ich pytania, zwiedzają muzeum średniowiecznych narzędzi tortur. Charakterystyczne, że ta kolekcja grozy nie budzi w nich jeszcze głębszych refleksji. Przeciwnie, skłania do żartów, do wypróbowywania narzędzi na sobie. Może nawet w niektórych z nich budzą się inklinacje sadystyczne? Przecież to ich rówieśników wychowywano przed z górą czterdziestu laty na gestapowców i ss-manów.

dzi, oczywiście, grozę i protest przeciw takiemu łamaniu wszelkich zasad humanitarnych. Jednocześnie sceny te zawierają również akcenty optymistyczne. Ukazują ludzi, którzy potrafili oprzeć się temu okrutnemu naciskowi. Ani straszny ból, ani ocalenie się o śmierć w wielu przypadkach nie jest w stanie złamać bohaterskiego oporu.

Film Zanussiego niesie nam jednak okrutniejsze jeszcze rewelacje — co gorsza — nie pozostawiające nam pięknych złudzeń. Na zasadzie telewizyjnego wykładu włączają się w tok obrazów naukowcy zachodnioludzieckiej, neurologi, anestezjolog, chirurgi.

taki zaistniał — miałby do dyspozycji środki farmakologiczne, które bezboleśnie potrafią zniewolować opór ludzkiej woli.

Oglądamy naukowy eksperyment. Osobom poddanym temu podaje się słowo-hasło z zadaniem nie ujawniania jego lekarzowi przeprowadzającemu badanie, ten zaś słowa tego nie zna. Widzimy, jak pod wpływem zastrzyku, badany z coraz mniejszym przekonaniem upiera się przy zachowaniu tajemnicy. Na początku eksperymentu był zdecydowany nie zdradzić hasła, stopniowo jednak coraz mniej mu na tym zależy, aż wreszcie pod wpływem działania środka farmako-

scami trzeba czytać je z niebywałą uwagą, gdyż w ocenie ludzi czasami Wincenty Witos nie jest obiektywny i trudno mu się zresztą dziwić.

Wspomnienia Wincentego Witos obejmują okres od jego młodości do listopada 1918 roku, a więc do momentu odzyskania niepodległości przez Polskę. I choć nie ma tu okresu najciekawszego, okresu walk politycznych już z czasów drugiej Rzeczypospolitej, to przecież lektura to pasjonująca, dla tych wszystkich, którzy chcieliby poznać nie tylko narodzin polityki, ale również ruchu ludowego, chcieliby poznać zasady pierwszej wojny światowej widziane oczyma ludowego polityka. I myślę, że warto sięgnąć do tego dokumentu, który pisany z określonych pobudek pokazuje czas nie tak odległy, a tak wciąż interesujący.

Wincenty Witos — „Moje wspomnienia”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1978, str. 556, cena zł 18.

WSPANIALI CHŁOPCY NA PIĘKNYCH KONIACH

Nie zostały już nawet ślady podków? Zatarł je wiatr, zmyły deszcze. Pozostała jedynie legenda. Piękna, ciekawa legenda o polskiej kawalerii. I ta, która mówi o walce na śmierć i życie, i ta, która mówi o pokojowych przygodach polskich ulanów. „Hej dziewczulko, w górę kiełki, jedźcie ulan jazłowiecki” — jak choćby głosi „Żurawiejka” o 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich. Tu wyjaśnienie — „Żurawiejki” to żartobliwe kuplety układane dla każdego pułku ulanów, czy szwoleżerów lub strzelców konnych. Tradycja ta pochodzi od kawalerii rosyjskiej i była popularna w polskiej kawalerii w czasach międzywojennych. „Żurawiejki” w carskiej armii układał Michaił Lermontow.

Nie ma już kawalerii w naszej armii. Nie ma już ulanów, malowanych dzieci. Pozostali tylko w pieśni, na filmowej taśmie, w literaturze i w legendzie. A przecież konnica była związana z polską armią od zarania dziejów. Konnica rozstrzygnęła wiele

bojów. Husaria rozstrzygnęła bitwę pod Kircholmem w 1605 roku, ocalała w 1683 roku pod Wiedniem Austrię i być może Europę. Wreszcie szara szwoleżerów otworzyła Napoleonowi drogę na Madryt. A ileż legend krąży o szarżach kawalerzystów z września 1939 roku?

Cezary Leżański twierdzi, że we wrześniu 1939 roku polscy kawalerzyści szarżowali na wroga sześćdziesiąt razy. Opisali te szarże w pięknej książce pt. „Zostały tylko ślady podków”. Jest to książka poświęcona w całości polskiej kawalerii, a głównie zmaganiom kawalerzystów w czasie drugiej wojny światowej. I tych, którzy zaczęli tę walkę na koniach, i tych, którzy przesiedli się później na czołgi, i tych, którzy w marcu 1945 roku szarżowali na wroga jako kawalerzyści Ludowego Wojska Polskiego.

Piękna to książka. Wyrosła z miłości do kawalerii, z miłości do naszej narodowej tradycji, w której kawaleria odegrała wielką rolę. Dobrze więc, że książka ta powstała. Jej ukazała się w Bibliotece Pamięci Pokoleń wydanej przez „Książkę i Wiedzę”. Dobrze, że wśród młodego pokolenia utrwalą naszą, narodową tradycję kawalerzystów.

Książka jest tym bardziej interesująca, że autor na jej końcu zebrał metryczki wszystkich pułków kawalerii, jakie istniały w wojsku polskim od czasów odzyskania niepodległości w 1918 roku. Metryczki pułków kawalerzystów z czasów międzywojennych mają ponadto „Żurawiejki” trafnie charakteryzujące cechy podwładnych pułków. „Lance” gubi, mało warty, to jest pułk się na Zachód, od stycznia 1941 roku mieli prawo noszenia jednemu naramiennika czarnego oraz czarnego sznura. Jako wyróżnienie za kampanie wrześniową Nie był to więc pułk tak mało wart. I tak to było z tą naszą kawalerią. Śmiało się z niej, ale kawalerzyści polscy należeli do najodważniejszych, najofiarniejszych, najlepiej zorganizowanych żołnierzy polskiego września. I nie tylko.

Cezary Leżański — „Zostały tylko ślady podków...”, Książka i Wiedza, Warszawa 1978, str. 224, cena zł 26.



WINCENTY WITOS

W historii 20-lecia międzywojennego Polski, Wincenty Witos — polityk wyrosły z ruchu ludowego Galicji — odegrał znaczną rolę. Nie tylko ubierał się jak chłop, żył jak chłop, ale, co znacznie ważniejsze, myślał jak polski chłop. W życiu politycznym Polski burzliwej walczył o spókoje, nie i polityczną prawa wsi polskiej. Miał wrogów, był przesławiany, zwalczany, wyśmiewany. Znał się wśród polityków zamkniętych w twierdzy breskiej.

Zamknięty w 1930 roku w twierdzy breskiej wraz z innymi postępowymi działaczami politycznymi, uległ licznym i wcześniejszym namowom, zaczął pisać swoje wspomnienia. Są one pomyślane, jako argument w walce z przeciwnikami politycznymi i osobistymi, jako argument w walce o prawa ludu polskiego. Miejscami czyta się je jak pamiętnik, miejscami, jak dokument historyczny stworzony przez wnikliwego obserwatora, ale miej-

Istnieje niepisana zasada, zgodnie z którą dziennikarz nie występuje na łamach prasy w swoich prywatnych sprawach. Bывают jednak uzasadnione odstępstwa od tej zasady — i tak jest tym razem. Prywatność tego felietonu jest zresztą dość problematyczna, chodzi w końcu o czasopismo, w którym publikuje od ponad dwudziestu lat, a od kilkunastu lat prowadzi stały felieton.

A w ogóle to chodzi o pewne zasady.

Niedawno „Odgłosy” opublikowały list w sprawie Zbigniewa Błani, opatrzonego kpiącym komentarzem. Dla nikogo nie ulega wątpliwości, że każda redakcja ma niepodważalne prawo nie publikowania tekstów, z którymi się nie zgadza. Można było zatem owo listu nie publikować. Istnieje również zasada, w myśl której redakcja ma prawo opatrzyć publikowane listy własnym komentarzem, w wypadku gdy autor w sposób oczywisty mijają się z prawdą.

W omawianym wypadku chodziło tylko o to, aby redakcja miała tzw. ostatnie słowo.

To jedno. Druga dotyczy tej rubryki i nawet nie wiem jak ją zakwalifikować, ponieważ jest to drobiazg, ale wielce charakterystyczny. Zarzuca mi się w pokretnej stylistyce notatki, jakoby niedokładnie cytował źródło... Byłbym wdzięczny autorowi tego arcydzieła

dziennikarstwa, gdyby mi owe „źródło” wskazał. Zacytowałem bowiem obiegową anegdotę, która nigdzie — poza moim felietonem — nie była publikowana. Nie można „sprawdzić u źródła” — jak mi radzą „Odgłosy” — anegdoty, która od wielu lat wędruje po Polsce w

Rzecz jest — jak widać — z gatunku tzw. głupich spraw, o których na dobrą sprawę pisać nawet nie warto. Ale czasem trzeba, gdy autor przestaje mieć pewność, czy jego kolejny tekst nie zostanie ośmieszony, wykpiony i opatrzonego komentarzem, w którym nie wiadomo

łożona jest jasno prawda, iż „warzywa” i „jarzyny” to pojęcia równoznaczne. Skąd autor notatki wziął rewelację, że „jarzyny to warzywa ugotowane”? Czyżby polskiego uczyła go jakaś gospodyni domowa? Podobnie jest z „bakłą” i „baśnią” — nie ma tu nic do rzeczy sprawa „klasyczności” utworu, oba te pojęcia są równoznaczne. Notatka o Lysiaku nosi tytuł „Z cyklu: Pudda”. I rzeczywiście, Tyle, że spudlował redaktor „Zalacznika”, ośmieszając się na dodatek.

Na koniec — skoro już wdepnąłem w konwencję „Zalacznika”, jeszcze jedna „głupia sprawa”. Jeśli się widokowi zarzuci, że powtarza cudze dowcipy, to pozwól sobie, na tej samej zasadzie, wytknąć coś redaktorowi „Zalacznika”. Otóż, w tym samym numerze pisma znajduje się notatka „B jak bubel”, która jest powtórzeniem tematu z mojego felietonu sprzed paru tygodni.

Obawiam się, że jeśli będę się tak bawić, we własnym gronie, wbijając sobie nawzajem zarzewia i tepe szpilki, to czytelnik bardzo szybko się znudzi. Nie chciałbym do tego przykładzić pióra.

WIDOK

TERESA WOJTASZEK — KUBIAK



Jej skala, La Scala.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Stargan

SPORT

W PRZERWIE MIĘDZY MECZAMI

Optymistów było wielu i muszę przyznać się, że ja do nich też należałem. Wydawało nam się, że w Lipsku będzie trudno, ale nasi chłopcy sobie poradzą i wbiją o tę jedną bramkę więcej. Tyle, ile trzeba, aby wrócić do Polski z dwoma punktami. Słabo się inaczaj. Nie powinniśmy być tym zbyt zaskoczeni, bo przecież wiadomo, że nowi drużyny tak łatwo się nie robi. Ale nam ciągle jeszcze w uszach grają bojowe surmy z Monachium. Kiedy to naszych chłopców wiodł od zwycięstwa do zwycięstwa sam, niezapomniany Kazimierz Górski. To było dawno i dziś tylko echo gra, choć nam się czasem wydaje, że jest inaczej.

Do grona optymistów włączyłabym Jana Ciszewskiego, który relacjonował przebieg lipskiego spotkania w samych superlatywach: wspaniali, znakomici, doskonali... W swym zapale nie zorientował się, że gdzieś po 30 minutach obraz gry zmienił się, że nasi chłopcy spuścili z tonu, że już nie grają tak dynamicznie i coś jakby puchli. Tak się kiedyś określało brak kondycji. Ale wszystkim nam, optymistom, wydawało się, że teraz Ryszard Kulesza weźmie ich w obroty, że im nagada i powie, jak grać dalej, aby wygrać. Może im i mówił, ale oni już nie byli zdolni do wykonania jego poleceń i jak to się mówi — założeni taktycznych. Zrobili to natomiast znakomicie przeciwnicy. Po przerwie na stadion w Lipsku wybiegła zupełnie inna reprezentacja NRD. Lepsza, choć w stylu gry nie pokazała niczego rewelacyjnego. Ale nasi chłopcy z minuty na minutę byli gorsi. Puchli coraz bardziej i gubili się coraz dośladniej. Aż przykro było patrzeć.

Skóra mi cierpnie, gdy sobie pomyślę o meczu, jaki 2 maja nasi mają rozegrać z Holendrami. Tym razem do grona optymistów już nie należę.

Sportowa opinia publiczna porażkę w Lipsku przyjęła spokojnie i trudno się dziwić. Więcej, niż wynik meczu z Lipska, zbudłwosował niektórych dziennikarzy sportowych artykuł, jaki ukazał się na łamach „Kulis”. Jego autorem jest Waldemar Lysiak, a artykuł nosi tytuł „Alchemia futbolu”, co jest aluzją do książki Jacka Gmocha pt. „Alchemia futbolu”. Artykuł jest gorącą obroną byłego trenera reprezentacji w piłce nożnej — Jacka Gmocha.

Waldemar Lysiak nigdy nie krył się ze swoją sympatią do Jacka Gmocha i swego czasu, kiedy niektórzy zaczęli już wybrzydzac, próbował na łamach „Literatury” pokazywać nieznaną cechę bardzo kontrowersyjnego trenera. Teraz, uznając, że jego odejście i podjęcie pracy w Norwegii, jest krzywdą, przypomina go ponownie, atakując dziennikarzy, że ta krzywda jest ich dziełem.

Kibice od dawna mieli bardzo różny pogląd na poczynania poprzecznego trenera polskiej reprezentacji piłkarskiej. Nie wszystkim podobano się to, co on robił. Ale kibic mało, kiedy ma rację, bo załmuje się piłką niefachowo, z amatorstwa. Co innego znawcy. Znamy cy cykalki i zachwycali się. Po raz pierwszy — naukowo, dowodlii. Teraz dopiero pokazujemy... A gdy nie z tego nie wychodziło, kupu na jednego. O wadach Jacka Gmocha napisano już wszystko. O jego zaletach także. Czas trochę zmienić opinie, wygady kandy, przewartościu. A tu nagle odezwał się kolejny amator, czyli kibic i namieszał, niektórym przypomniał, innym powypominał, jeszcze innych obraził. A było tak cicho i spokojnie wokół byłego trenera. Zrobił to zbyt wcześnie i teraz wszyscy kupu na Waldemara Lysiaka. Jak śmie? Bezcelny kibic! Ze nie ma racji? A kto zawsze miał absolutną rację, mości panowie? No, kto?

Ludzie robią się coraz bardziej bezzelni. Wypowiadają nieproszeni swoje opinie, próbują dyskutować w sprawach raz już z góry ustalonych. Ba, próbują nawet pouczać tych, co to wiedzą najlepiej. A czasem nawet dochodzą swoich racji. Ktoż to słyszał o takiej bezzelności?

Z Gdańska nadeszła kolejna wiadomość o problemach tamtejszej Lechii. W sprawie Mirosława Tłokińskiego, który odszedł do Widzewa w Łodzi, sąd się już wypowiedział, choć wyrok jeszcze się nie uprawomocnił. Teraz mamy drugą sprawę — Leszka Kwaśniewicza, który próbował przejść do LKS. Ze też zawsze Łódź się musi wpakować w takie dziwne sprawy! I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie pewien szczegół. Otóż — jak informuje bardzo dokładnie tygodnik „Piłka Nożna” — Lechia zawierała dokładne umowy z zawodnikami, w których precyzyjnie określa się wzajemne obowiązki. W sprawie M. Tłokińskiego on się z umową nie wywiązał, w sprawie L. Kwaśniewicza — klub. Zobaczymy, czy i teraz sprawa trafi do sądu?

Ala nie o to chodzi. Od dawna trwa dyskusja o piłkarstwie kontraktowym. Lechia, zdaje się, całą dyskusję próbuje zekontrować. To chyba już jest piłkarstwo kontraktowe. Jmowa precyzuje bowiem obowiązki piłkarza i to, co on za to dostanie: ile etatów i jakiej wysokości wynagrodzenie, jakie obowiązują go premie, jakie i kiedy otrzyma mieszkanie, ile dostanie za chorobę i tak dalej. To już nie domysły, to fakty.

BOGDA MADEJ

PROPOZYCJE

Jadących od strony Łodzi do Brzezina, z daleka już wita reklama, zapraszająca do „Karczmy Staropolskiej”. Napis jest stylizowany i wielce obiecujący, choć lakoniczny w treści: „Karczma Staropolska zaprasza” i strzałka pokazuje kierunek, w którym w odległości 300 m znajduje się owa ziemia obiecana dla podróżnych spragnionych jada i napoju. Przyznam, że i mnie owa reklama kuszyła i to dobrze o niej świadczy. Punkt dla pomysłodawcy.

Alieci w samej karczmie spotkało mnie rozczarowanie. Nie tam nie ma, co przypominają styl staropolskich karczem. Przeciwnie. Raczej eklektyzm nieudolnie stylizowany na folklor. Trochę drewna lakierowanego i wypalanego rozgrzanym drucikiem w różne mniej więcej znane i pomysłowe wzory. Bukiet sztucznych róż w szklanym wazonie. Kolorowe butelki. Nie powiem, czysto i przyjemnie, ale nie pomysłowo. Minus dla projektanta.

W części gastronomicznej natomiast aż dwa minusy. I to dla gospodarzy. A to dlatego, że w karczmie staropolskiej choć nie spodziewam się, aby miód pitny podawano, a można byłoby, to przecież chętnie w karcie zobaczyłbym coś, jeśli już nie staropolskiego, to przynajmniej regionalnego, jakieś mazowieckie piży, albo brzezińskie kluski, jeśli takowe istnieją. Ale nie z tego. Zaoferowano mi kurczaka i gołąbki... z puszkii... Dziękuję, gołąbki w puszcze sam mogę kupić w sklepie i odgrzać w domu. Tego, jako żywo, starzy Polacy nie znali.

Felietoniści już dawno wysmiali językotwórczą działalność przemysłu, który lampy nazywał zwisami, ale nie zawsze

dotykali istoty rzeczy, polegającej na tym, że nowym nazwom dla starych produktów towarzyszyły częstokroć nowe ceny. Wyższe oczywiście. Nadawanie nowych nazw starym produktom może też być zasłoną słowną dla indolencji, bezzelności i lenistwa. Co prawda, aby wymyślić nową nazwę, trzeba trochę pomyśleć, ale nie ma w tym większej sprzeczności, gdyż dużo łatwiej jest wymyślić nową nazwę, niż wyprodukować nowy towar.

Byłem niedawno w Warszawie. Postanowiłem odwiedzić restaurację „Trojka”,

STAROPOLSZCZYZNA

która mieści się w Pałacu Kultury i Nauki. Lubie rosyjską kuchnię. Z zadowoleniem powitałem wielkie plansze zapraszające klientów do „Trojki” na potrawy tejsze właśnie kuchni. Powitałem to z zadowoleniem tym większym, że plansza zapraszała również klientów w języku rosyjskim, a to wydawało mi się gwarancją dobrej kuchni. Jakże byłam naiwny.

Najpierw poprosiłem o sałatkę „moskwa”. Nie była to wszakże, ani sałatka „moskwa”, ani włoska, ani żadna inna, tylko po prostu zwyczajna sałatka warzywna. Zrobić ją potrafi każda, jako tako znająca się na kuchni gospodyni, która nie musi mieć absolutnie żadnego pojęcia o kuchni rosyjskiej. Może o niej nawet nie słyszeć. Ale przeobrałem to pierwsze nieporozumienie. Z niecierpliwością oczekiwałem natomiast na kotlet kijowski, mając nadzieję na ucztę kulinarną. Niestety.

Jakież było moje rozczarowanie, kiedy zobaczyłem, na podanym mi talerzu stary, dobrze znany „kotlet de volaille”. Na wszelki wypadek zapytałem, czy to jest to, co zamawiałem? Dowiedziałem się, że tak, tylko, że nasz de volaille nazywa się teraz w „Trojce” kotletem kijowskim. O, kucharska przemysłność. To nazywa się mieć handlową głowę. I jak bym nie wiedział, że gastronomia nasza słynie z wymyślenia nowych nazw dla starych potraw.

Zdarzyło mi się już nawet widzieć, jako specjalność zakładu „jajecznice po polsku”. Jest to specjalność, którą potrafi zrobić każde pachole. Ja na przykład znam jajecznice po serbsku, ale przepisu nie zdradzę, bo gastronomia z tego i tak nie skorzysta. Ktoś niedawno wymyślał „kawę po staropolsku” i „herbatę po staropolsku”. Wprowadził herbatę i kawę zaczęto w Polsce pić od XVIII wieku, ale nie jestem pewien, czy zachowały się przepisy z tamtego czasu. Zresztą w gastronomii moda na staropolskość jest powszechna i wszystko można wzbogacić przymiotnikami staropolskimi. To nadaje szlachetności nawet najbardziej pospolitemu produktowi gastronomicznemu.

Wydawnictwa Naukowo-Techniczne wydały w 1974 roku książeczkę pod tytułem „Herbata”. W tej książeczce są przepisy parzenia herbaty różnych narodów. W każdej kawiarni, gdzie podaje się herbatę, taka książeczka powinna być używana obowiązkowo. Ale to jest jedynie marzenie.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

Budowlani mają świętą cierpliwość. Zupenie jak kelnery i jak koleje państwowe — kto żył, kto piór trzymał w ręku, pisał absolutnie słuszne skargi i zarzuty pod adresem gastronomii i kolejnictwa — i co? I nic.

Może ktoś z tej dumnej brzozy odezwie się wreszcie, kiedy napiszemy, że budowlani pracują za dobrze? Ze oddają do użytku nowe budynki w takim stanie, że trzeba natychmiast coś rozwalić, coś popsuć, żeby nie było za dobrze?

Znam na przykład całe osiedle ogromnych nowych bloków wyposażonych w zsypy do odpadków. Cóż za postęp i wygod! Żadna pani domu nie musi znosić co dzień z siedemnastego piętra wiaderka z odpadkami i wypróżniać je obok przepelnionych pojemników, zwiększając cuchnące hałdy na miejscach, przeznaczonych na trawniki z huśtawkami. Wystraszcy wyjść na klatkę schodową, wejść do czyszczonego ogrzanego pokoiku, otworzyć kłapę w ścianie i wyrzucić śmieci razem z ochlapami różnych wiktualii. Co prawda daleko to wszystko nie spadnie. Zsypy powinny być z dolu cpróżniane, ale nie są, hałdy zamiast gromadzić się na miej-

scach, przeznaczonych na trawniki, piętrzą się po prostu wewnątrz wieżowca. Budowlani nie są temu winni, oni chcieli dobrze. Oni chcieli tak dobrze, że w odnośnych pokoiach na każdym piętrze założyli grzejniki centralnego ogrzewania, skutkiem czego zawartość zsy-

bloków zainstalowano zlewozmywaki akurat w połowie odległości pomiędzy kuchenką gazową a ścianą, skutkiem czego nie można wstawić żadnej szafki ani pomiędzy kuchenką a zlewozmywak, ani pomiędzy zlewozmywakiem a ścianą. Dwie puste, bezsensowne luki. Ponie-

PODGRZEWANIE ODPADKÓW

pów podgrzewa się systematycznie i cuchnie potężnie. Oczywiście grzejniki można łatwo usunąć, trochę trudniej zlikwidować związane z nimi odgałęzienia przewodów c.o., porajających tysiące kalorii. Wejdą tam kiedyś nowe brzygady i fachowo zlikwidują to, co zrobili wcześniej ich kolezdy. I nikt nawet nie zapyta, komu, do czego miały być potrzebne ogrzewane zsypy?

W kuchniach tych samych

waż ludzie niedobrze znoszą brak sensu, każdy mieszkaniec zaczyna zasiedlanie od rozwiązania zlewozmywaka i przesunięcia go pod ścianę. Tak jest o wiele rozsądniej i wygodniej, tylko że brzygady hydraulików musi fachowo popsuć to, co inna (a zresztą z tego ta sama...) brzygada tylko co ukończyła zgodnie z projektem, wymyślonym przez setkę uczonych i instytucji.

W tych samych kuchniach

CWIEK

Załącznik nr. 234/79

HASŁO NUMERU: Czytelnik dotknięty może się uważać za kupionego

ARTYKULAS WSTĘPNY

Otrzymałmy kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt tysięcy listów (Ach, ta statystyka). Były też telefony. Wiadomo.

Na ogół zarzuca się nam, że nie dotykamy tego i kogo trzeba.

Na ogół zarzuca się nam też, że dotykamy za słabo.

Na ogół zarzuca się też, że dotykamy zbyt mocno.

Więc wiemy już, jak trzymać.

Zaraz po ukazaniu się pierwszego numeru ktoś ustawił przed drzwiami armatę i wali w nasze wróble aż pióra leżą.

Czy doprawdy Towarzystwo Przyjaciół Ptaków nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia?

Czekamy na interwencję.

A ślusarz?

„Od kilku już sezonów apelujemy na naszych łamach — pisze Anna Iżykowska-Mironowicz w „Głosie Robotniczym” z 20 bm. — o przydzielenie Filharmonii funduszu na zakup nowego fortepianu. Niebawem żaden z szanujących się pianistów nie zechce koncertować na takim instrumencie — wraku. Tym razem stało się najgorsze. Po paru minutach gry trzasnęło kilka strun fortepianu. Cała pierwsza część pianisty zmuszony był „odbrzeczć”, a w przerwie pomiędzy częściami okazało się, że nie ma dyskurującego stróciela. W związku z tym solista wraz z dyrygentem mozołnie wyrwał z rąk instrumentu uszkodzone struny, a mimo to do końca koncertu towarzyszyli nam trzy dźwięki o odmiennej, stłumionej i matowej barwie”. Przesada z tym żądaniem fortepianu. Ślusarz by nie wystarczył?

Częściowo

„Pegaz”, lubiany magazyn telewizyjny, obchodził w ubiegłym tygodniu jubileusz. Skromniejszy, niż poprzedni, ale zawsze. Oto, tym razem, zadano pytanie (po raz 248), czy prawda jest, że architektura współczesna przechodzi kryzys. Okazało się

Międzynarodowym Rokiem Delektacji — sztych w Głosie Robotniczym Iwona Siedzińska — postanowiono, poza emblematami, chustkami, apaszkami, kalendarzami, produkować także okolicznościowo zdobione... krawaty. Przekwitł już topless tzn. bez szczytu. Teraz będzie downless — tzn. bez dołu. Byleby lato nie było wietrzne.

(według reportera Tygodnika Piotrkowskiego, Teresy Lechowicz) naczelnik miasta i gminy Tuszyn”.

— Ho, ho, ho — to ci jest II. literatura faktu (dopowiada „Załącznik”).

„B”

— jak „Berliet”

TO i TAMTO

He, he, he

(z „Pegaza”, że częściowo przechodzi, a częściowo nie. No, to i ten kryzys mamy z głowy. Do następnego „Pegaza”.

Downless

Nowa moda dziecięca proponuje jedno z łódzkich zjednoczeń przemysłowych. W związku z

„Co ma Tuszyn do Centralnych Dożynek” (pyta reporter Tygodnika Piotrkowskiego, Teresa Lechowicz).

„Hu, hu, hu” — odpowiada

KALI

— Jeśli ktoś Kalemu zabrać krowy — to jest zły uczynek.
— Doskonale! — a dobru?
— Dobru, to jak Kali zabrać komu krowy?

(Henryk Sienkiewicz, W pustyni i w puszczy, PIW, 1950, s. 274)
W poprzednim „Załączniku” Jerzy Wilmański wystąpił w obronie szyszkano-

WIDOK

wanego rzekomo przez nas badacza UFO, p. Zbigniewa Błani-Bolnara, teraz znów, w dzisiejszym „Odgłosach” (str. 15) w obronie Jerzego Wilmańskiego występuje Widok. Zgadzaliśmy się pole bitewne.

Ma za złe Widok, że wbijamy jemu czy też J. Wilmańskiemu, tepe szpilki.

I WILMAŃSKI

kl, że to niby we własnym gronie nie wypada. Dlatego, jednak nie ma za złe tego samego J. Wilmańskiemu — że pierwszy wbił taką szpilkę „Za-

łącznikowi” — to wytłumaczyć może tylko Sienkiewicz (patrz: cytaty powyżej).

A teraz zakasmy rekawy.

1. Dławi, że Widok-erudyta, nie wie, że anegdota o sprzedaży jest opublikowana w Zbiorze anegdot współczesnych, Wydawnictwo HIS, 1948, s. 74.

2. Co do warzyw i jarzyn — przeprowadzamy eksperyment. Zdamy sprawozdanie po ugotowaniu się.

3. Bajka i baśń to nie są jednak pojęcia równoznaczne. Są źródła (do wglądu).

4. Motyw wykorzystany w „B jak Bubeł” pojawił się po raz pierwszy nie u Widoka, lecz u Iwaszkiewicza; nie parę tygodni, ale parę lat temu. Są dowody.

Jak zaczęliśmy to i skończymy cytatem. Oto on:

„Strasznie loszyscy zrobili się drażliwi. A poczucia humoru nie przybyło”.

(Widok, Odgłosy, 1977, nr 5, s. 11).

P.S. W poprzednim „Załączniku” daję Widok ogólne pouczenia, powołując się na swoją młodość. Cytujemy:

„W młodości uczono mnie, że żarty z nazwiska są najbardziej prymitywną formą dowcipu”.

Widać dawno to były nauki, i tylko na specjalne okazie wyłącza je starzec Widok z mgły niepamięci, skoro w „Odgłosach”, rok 1977, numer 11, str. 12, został umieszczony następujący tekst. Cytujemy:

„Nie będziemy jednak, w związku z tym, łapusem p. Tumanowicza, czynić żadnych aluzji do jego nazwiska”.

Tekst napisał raczej Widok, a nie J. Wilmański. Są dowody.

(KATORŻNIK)

JEDNO DANIE

DZIS: LIMBA

A' LA SZUBERT

Henryk Szubert — wybitny znawca limby. Jako pierwszy na łódzkim gruncie spopularyzował ich wartości odżywcze.

Nasiona limby znaleźć (patrz: im. Worcelia, Poniatowskiego, Reymonta, Słowackiego, Julianów, Zdrożdźka — od ul. Targowej. Uwaga: do jedzenia nadają się tylko nasiona z szyszek młodych zielonych; dojrzałe są brunatne i po tym je można odróżnić).

Wytuskać z szyszek. Mleczkować na wolnym ogniu ok. 1 godziny w lekko osolonej wodzie (proporcja: 50 nasion na 1 litr).

Patelnie rozgrzać i po dostatecznym zmniejszeniu nasion wyjąć, osuszyć i prażyć na wolnym ogniu aż do barwy brunatnej.

Włożyć na talerz, dodać masła. Posypać koperkiem. Smacznego!

Uwaga: nasiona limby stanowią znakomity dodatek do pieczenia, brązów i schabów!

(Za „Kalejdoskopem” nr 4/79 podał i rozwinął K. U. Charski)

NIE PAL TYLE



NAWET GDY CHŁOPAK PŁOMIENNY

POEZJA KLASYCZNA

Ze moim wzorem poezji klasycznej, Ze się zachwycam wierszami Tuwima, Ze sentymentalna jest i zbyt tyrczna, Ze w mych utworach niejasności nie ma,

Pretensje mają poeci współcześni I wierni ich propagatorzy, I odczuć dają mi dosyć boleśnie, Ze rymów w wierszach nikt już dziś nie tworzy.

Dziś czytelnik powinien się zmęczyć, Rozstrzelić nerwowo, psychicznie, Dłż czytelnika poeta ma dręczyć, Żeby nie było mu zbyt idyllicznie.

Dziś trzeba mu „dać do myślenia”, Bo po co mu forma i metafory... Angardziści! Gdzie macie sumienia! Poeta klasyczny przez was jest chory!

W ką nas rzucać, lecz pamiętajcie, Powróćcie znów naszej erze. Uwierzcie mi, proszę, i zaufajcie, Ze świat przeprosi starego Homera.

Poezja polega na słów dobieganiu, Myśli w piękna strojeniu postać, Czasem na śmiechu, czasem na łkaniu, By nastrojowi poeci srostać.

JERZY KWIECIŃSKI

W telekomunikacji modne stały się światłowodowy. Wyprowadzić się światłowód. Wyprowadzić światłowód, zainstalowanych w Lublinie, ale decyzją ministra łączności Łódź też będzie miała kabel światłowodowy. Nowoczesna centrala E-16 polaczy ten kabel z osiedlami Widzew-Wschód.

Bardzo się z tego cieszymy. Ale jednocześnie ogarnia nas strach, bo im więcej nowoczesnej techniki ładuje się do łódzkiej telekomunikacji tym trudniej gdziekolwiek doprowadzić się. A co to będzie, gdy zainstaluje się światłowody?

ZANIM

ZADZWONISZ

PRZECZYTAJ!

MY ZA, ALE...

Niestety, nie możemy dziś zamieścić zapowiadanego, trzeciego odcinka książki telefonicznej z roku 1976/77. A to z powodu tego, że nam zaginęła. Poszukiwania trwają. Apelujemy do uczciwego znalazcy — CZYTELNICY CZĘKAJA, a nam ze zdenerwowania aż się rymuje).

Przypominamy że druk starej książki rozpoczęliśmy dla wygody Czytelników (jak wiadomo, nowej nie ma nawet na rynku). Obiecujemy, aby się wywiązać, wydrukowanie dwu odcinków (trzeciego i czwartego) w następnym numerze!!!

POETYCKA SPÓŁDZIELNIA PRACY

RADOSNA TWÓRCZOŚĆ

ŚWIADCZY USŁUGI DLA LUDNOŚCI



Dziś przyjmujemy w poczet Dorotę CERAN. Uczennica III klasy XXVIII LO w Łodzi. W klasie VIII szkoły podstawowej zajęła V miejsce w Łodzi w olimpiadzie języka polskiego. Laureatka II nagrody konkursu poetyckiego organizowanego

przez samorząd liceum im. W. Broniewskiego. W roku szkolnym 1977/78 założyła w szkole Koło Miłośników Johanna Straussa (juniora).

W liście do Prezesa D. Ceran oblicuje „pracę nad sobą” i dalsze „podwyższanie poziomu”. Mając na uwadze to szczerze zapewnienie, postanowiliśmy już teraz przyjąć D. C. do PSP.

Czekamy na inne propozycje. Warunki wstąpienia do Spółdzielni: zdjęcie (własne), życiorys (biografia twórcza) i trzy wiersze.

Prezes T. S.

P.S. Dziękujemy za kwiatki!

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

WIELKA PCHŁA

MINI POWIEŚĆ O I?

ODCINEK 3

Na Zurawiej pani Celinka miała biurko przy oknie, ale co z tego, kiedy zaraz za oknem był wysoki, ślepy mur? Na murze widniały wówczas ślady po kulach. Kto i z której strony mógł strzelać do ślepego muru w pięci drugiego podwórza? Może to był mur — samobójca?

Zresztą dwadzieścia lat później przeleciało nie wiadomo kiedy. Teraz młodzi koledzy chodzą grabić liście w czynie społecznym, a na wieś się nie jedni, bo za daleko. Młode statystyki tak sa-

mo, jak pani Celinka nie wiedzą co to jest zyro ciagnione, sie są magistrami i mają inne widelki. Nikt nie wydrze dwóch stronie z materiałowki — a przecież tylko dzięki temu bilans się wtedy zgodził! Hej — gdzie jest ten czarny chłopak w koczuli bordo, co tylko w garść spłunął i trząsk — wydrzi jak nie...

— Pani mi da rękę! — prosił tej samej nocy. Naczelnik wtedy też jeszcze urzędował, siedział u dyrektora czwartą kawę z rzedu. Ale poprzedniego dnia w salonie tyśtacia drobiazgów były tylko plastikowe podstawki do ja-

lek w kształcie nenufarów i miotki bez trzonków. — Poproszę miotki! — mówiła pani Celinka, bo chciała sobie coś wbić. — Tam leżą! — odparła sła, oparta o ścianę. — Ale takie? Bez trzonków? — Trzonki są tam! — pokazała nie odrywając się od ściany. Może musiała tę ścianę podpierać? Kiedy już tak było, że ledwie jeden pan wyszedł spod mostu, a most się zawalił. Nie wychodził spod mostów bez uprzedzenia!

No więc te drugie trzonki były do niekie, ale kierownik wynurzając się spod lady wyjaśnił,

co trzeba robić, żeby silekiera bez trzonka rozłupać trzonek bez silekier i zrobić z niego trzonek do miotki. Pani Celinka kupiła to wszystko i zgodnie z radą kierownika rąbnęła się w palec. Jak taki czar, spuchnięty paluch pokazał bliskiemu człowiekowi? Ręka nie została oddana do dziś. Hej, gdzie ten chłopak, gdzie ta bordo niemająca?

Naczelnik — już trzech od tamtej pory — znów u dyrektora (dwunastego, o ile nas pamięć

nie myli). Sekretarka ledwie nadąza z herbatą, ma niezbyt wydatną grzałkę. — Z taką grzałką pani koku nie dotrzyma! — mówił referent Puciek, chodzący dwunaczelnik. A co ona winna, że herbatę pije się szybciej, niż kawę? — Wszędzie ta oszczędność, a tu meble drożają! — narzekała. Zza obitych tapicerką dźwierzy dochodziły stłumione, tajemnicze dźwięki.

(Dalszy ciąg nastąpi)

